

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 20. VIII. 1950 r.

Nr 33 (264)

W NUMERZE

J. ŁAZARZ — W walce o świetlicę: Walcząca poezja Afryki,
Głos Czytelników o nagrodzonych: Woroszyłskim, Ha merze i M. Brandysie,
SAMUEL SANDLER — Okres burzy i naporu; W. WILANOWSKI — Prawda o Formozie,
A. OSTOJA — Droga na świat; J. W. GISGES — Wiersze,
J. BRZEŹKI, W. DRABIK, J. WIERZEJSKA — Nasze doświadczenia.

IAN ALEKSANDER KRÓL

WIEJSCY ZETEMPOWCY

(Na marginesie obrad Rady Naczelnej ZMP 31 lipca br.)



WŁADYSŁAW UDALSKI

ZNACZEK ZMP-owski

W kłapie marynarki

tuż nad sercem
jak gdyby wyższa mej krwi wartość
białoczerwony płomień —
tętniąca cisza pól zielonych
i upalne dni lipcowe
płynące naprzód ciężkim żniwem
i tryby których wartkim zgrzytem
jest odmierzana krew w moich żyłach

to:

znaczek zetempowski
to sojusznik robotniczo - chłopski

to dłoń gorąca od uścisku
z Vietnamu ze skrawionej Grecji
i moje serca palenisko
gdzie czas dorzuci ciężkich treści
i skrzy ościeżki od czerwieni
kując po całej miotli ziemi.

Twarz biegiem krwi gorąca
gdy chwila śmiałej chce decyzji
chłodzę o twój spokojny zarys.

Ludzkiego serca miniaturo
nadajesz oczom twardość stali
więc ciesz się że jesteś ze mną
i czuwasz ciele na nym życiem
kierując biegiem mych postępów.

JAN NAGRABIECKI

S P

Kradną słońce kola z szyn,
omotały podwozia widnogrę.
Junacki śpiew pociągami tym
wypływa w przestrzeń jak okręt.

Staneła maszyna. Chłopcy do łopat
i za czub góry się wzięli.
Maleje w garściach wzniesienie i popatr
zbudowali wiadukt z kamieni.

Tunelem jak gwiazd przeciągłym,
łączącym kopalnie, miasta i wsie,
jadą do dworca pociągi,
w pociągach junacy SP.

W rodzinnych domach, z okien
wygląda matka i ojciec.
Pociąg junackim krokiem
mknę we wrota otwarte na rościsze.

Zaskrzypiały zawiąsy radośnie,
gościnne, domowe, tak bliskie.
Za węgiel dziękuję głośno,
troskliwie matczyńsko.

WIESŁAW RUSTECKI

MIŁOŚĆ

O miłości
gdy mówisz — głosu nie ścisza.
Tyle w tym słowie radości
ile pracy pomieszcza szczerze dziewczętałce.
I powiedzieć „kocham” nie wstydzi się
— przecież w komunistycznej epoce
miłością będzie każdy w domu sprzęt
każdy dzień przy pracy, każdy trud powszedni.

Popatr, jaka piękna
przedownica — tylu motkom bawełny nadają
i czy wiesz — może twojej matki sukienka
nosi blask jej oczu skupionych

Więc na wesele pros
towarzyszy. Radość naszych czasów
ma twojej dziewczyny głos
jej ręce niestrudzone i piękno jej włosów

W ostatnim numerze „Nowej Kultury” (nr 19) przeczytałem piękny reportaż Mariana Brandysa „Zetempowska robota”. Terenem tej roboty są zespoły młodzieżowe, budujące Nową Hutę. Wymowna to ilustracja do referatu Władysława Matwina, przewodniczącego Zarządu Głównego ZMP. Matwin mówił w tych dniach na Radzie Naczelnej ZMP o organizacji zetempowskiej, jako *pomocnika Partii*, jako młodszego bracie *leninowskiego Komsomolu*. W reportażu Brandysa na polach Nowej Huty widział te role ZMP, ten styl pracy, odpowiedzialności i dyscypliny w бригадах zetempowskich. Ale Matwin stawiał wezwane wobec całego związku. Wśród milionowej zetempowskiej młodzieży tak robotniczej jak wiejskiej i szkolnej wezwać może i powinna taka atmosfera zapалу, entuzjizmu i poświęcenia, jaka cechowała młodzież radziecką — budowniczych Komsomolska nad Amurem, budowniczych wielkich fabryk, zakładów i kopalni, stalnowskich piec-
ciolatek.

Te perspektywy zalamuje Brandys w swoim reportażu. Jest tu taka scena. Przywiedrzał do Nowej Huty stary chłopka, chce odebrać syna z budowy i nauki. Brandys odnotowuje rozmowę między chłopką a członkiem zarządu brigady ZMP.

„Niech pani pomyśli o przyszłości syna. Tu nauczy się fachu. Za rok będzie wykwalifikowanym szoferem i dostanie mieszkanie w jednym z tych pięknych białych bloków, które widziała pani po drodze. Sprowadzi pani z dziećmi do Nowej Huty. A pani co? Chce z powrotem ścinać syna na wieś? Z powrotem utopić go w gnojówce? Oby nie musiała pani kiedyś płakać nad dzisiejszą krótkowzrocznością.

Ale za miłym, zawstydzonym uśmiechem Karolowej kryje się twardy, chłopski upór i z góry przyjęta decyzja. Na PGR, gdzie pracuje, lubią jej syna i potrzebują młodych, zdolnych pomocników do traktorów. Powiedzianno jej tam zapewne: nie bądźcie głupia Karolowa i zabierzcie syna z brigady. Na co ma tam tyrać za obiecanke - cacankę. Tu damy mu pracę od zaraz.”

W tej rozmowie Brandys jest po stronie członka Zarządu ZMP. Akceptuje ich argumentację. W odpowiedzi chłopki widzi tylko trywialny realizm, krótkowzroczność ciemnoty. A mnie się wydaje, że w tej rozmowie góruje stary chłopka, a młodzi zetempowcy palą straszliwe głupek-
wo. Bo co oni mówią? Że płakać się będzie za każde z powrotem ściągnięcie syna na wieś, bo na wsi człowiek topi się w gnojówce. Szczególnie ten, kogo wyciągnie się z gnojówki, a ty, stara matko, nie możesz tego pojąć? Jak tu jest rozumiany awans? Wyjść do miasta (z przynależą: białego bloku?) — to awans! Zostać na wsi — to gnić? Tam do licha! W dobie budowy fundamentów socjalizmu? Kiedy chłopci tworzą spółdzielnie produkcyjne, a cała wieś polska fermentuje tymi przemianami w walce, dyskusjach i doświadczeniach. Kiedy klasa robotnicza, kiedy partia, kieruje na POM-y i PGR-y wypróbowany aktyw górniczy i metalowców! Kiedy wzmagają się akcja łączności brigad robotniczych, kiedy Plan 6-letni przybliża nowe ośrodki przemysłowe do wsi, do zapadłych kątów rolniczych, kiedy wyrównuje strukturę przemysłową kraju, unerwiając dawne okregi Polski B. Kiedy wzmocnionym rozwojem przemysłu chce nadmiar rąk robotniczych z wsi odciażyć do dalekich ośrodków fabrycznych, hut i kopalni i na bliższą odległość, do nowych, śródrolniczych, aby tym intensywniejsza praca i walka zawierała na wsi...

Stara chłopka może jest krótkowzroczna, ale to nie zostało udowodnione. Przeciwnie, w jej portrecie odczytujemy co innego. Traktora się nie boi. Wiąże z nim przyszłość syna. Wiąże z nowym na miejscu! A za co dziękuję, od czego się odmawia? Od szczególnego wyróżnienia syna, jakie zapowiada skok, odrywający go od rówieśników, od młodzieży z jej wsi, i skok, który wybija go w górę i przeciwstawia tamtym, co pozostał. Stara chłopka nie łączy w całość pracy traktorzysty na wsi i szofera w Nowej Hucie, to prawda, nie widzi jeszcze wyraźnie, że na obu pozycjach służy się wspólnej sprawie socjalizmu, ale ona swojej wsi nie porównuje do gnojówki, gdzie człowiek — tonie. Ona na miejscu dostrzega realne zmiany na lepsze, na miejscu już w nie wierzy, na miejscu widzi już awans dla syna,

gdy zdolny i chętny do pracy. Przyda się, będzie przemieniał...

Członkowie Zarządu brigady ZMP nie powiedzieli starej chłopce co należało powiedzieć. I tu, matko, i tam u was, wszędzie budujemy i przebudowujemy. Tu w Nowej Hucie, chcemy skończyć z wiekową „nędzą Galicji”. Tu będzie wielki przemysł, wielka produkcja dla rozwoju, dla lepszej pracy i życia na wsi. Tu ścigamy nadmiar zbędnych sił z biednych, krakowskich przysiółków. Tu będą się chłopci przekucwać na robotników. Tu wyrzucimy robotnicze zagłębienie, którego siłę i pomoc odczuje zafachany Kraków, odczuje teren, wszystkie gromady i wasza matko również. Kogoś od Was potrzebujemy. Przyszedł Wasz syn, to dobrze. Pracuje on i dla Waszego PGR-u. Macie w synu najlepszy dowód, że Wasz PGR nie jest osamotniony, nie jest opuszczony. Tu się dla niego pracuje, tu się ubezpiecza jego przyszłość. Możecie być Matko spokojni, ktoś inny pó-
ciolatek.



dzie do traktora u Ws. Powiedzieć mu, że Wasz syn w Nowej Hucie czuwa i pomaga. Powiedzieć mu, że Wasz syn wywija go do współzawodnictwa, że w tym czasie, kiedy Nowa Huta wyrósł na gigant, w Waszym PGR-ze w waszej okolicy dużo już chłopci muszą zmienić i osiągnąć. Powiedzieć, że Wasz syn nie zawiedzie, ale sojusznik chłopsko-robotniczego w sześciolatek, u was też zawieść nie wolno!

Członkowie Zarządu brigady ZMP zbalamucili starą chłopkę. Ona, robotnica, przyszła z PGR-u, gdzie przekonała się, że można żyć z kilkorgiem dzieci, że syn ma przyszłość, że nowe wyrasta, że z traktorem poradzi sobie jej dziecko. I jeżeli teraz uwierzyła, że to wszystko gnojówka, w której człowiek się topi, jeżeli ten lek z powrotem w niej ożywił, to — zostawiając syna, uczyniła tak „po staremu” dla szczęśliwszego indywidualnie losu syna.

✱
Błąd Brandysa nie jest odosobniony. Powstał na liirli, którą rozwinęły, rzecz paradoksalna, bardzo pozytywne fakty.

Nie znajdziemy na wsi chłopka, choćby nawet był reakcjonista, który nie przyzna, że takiego po wojnie wywaru młodzieży do szkół zawodowych, gimnazjów, i na wyższe uczelnie, jak długo żyje, nigdy nie oglądał i nie mógł sobie wyobrazić.

Śięgam do pierwszych z brzegu meldunków naszych korespondentów z 1949 roku. Nowak wylicza, że z jego rodzinnej, rzeszowskiej wsi wyszło ponad 20 osób. Papier, że wsi stopniowej — 60. Tomala z radomszczańskiej — ponad 100. To wszystko z pojedynczych wsi. Trzeba sobie umieć wyobrazić te wielkie fale odpływu, niejednokrotnie pozostawiające wieś ogolowaną z dorosłej młodzieży.

Bo odpływ nie kończy się na studiującej młodzieży. Jedną falę dała osiedleńcza wędrownica z województw centralnych na Ziemię Odzyskaną; w szczecińskim, olsztyńskim wciąż jeszcze oczekiwana. Druga — odpływ do pracy fabrycznej, do zakładów, przedsiębiorstw komunikacyjnych, handlowych, budowlanych. Trzecia wywołana potrzebą kadr, to była droga młodzieżowej przyszłości — poprzez szkoły fabryczne, zawodowe, gimnazja, wyższe uczelnie.

Czwartą falę podeszły i podbiegają bieżące potrzeby kraju na pracę i pozycje społeczne, polityczne, kulturalne, gospodarcze.

Młodzież z wyrobieniem społecznym sprzed wojny, z zaprawą i zasługami z okresu okupacji, z okaznymi zdolnościami i zapalem po wojnie wciągały instytucje i organizacje powiatu, przetrzącały na dalsze i wyższe płacówki.

Jakie to procesy mogły i musiały wywierać wrażenie na wsi?

Odczuło, po pierwsze, pęknięcie chińskiego muru. Otwarte zostały drogi z wiejskiego ghetta. Wszystkie prowadziły do indywidualnej, subiektywnie odczuwanej pomyślności, lepszego bytu, awansu.

Do lata 1948 roku na bazie reformy rolnej i zasiedlenia Ziemi Odzyskanych stabilizowała się indywidualna gospodarka chłopska po staremu, polepszenie i odmiana koronowa ostatecznie — odpływ. Młodzi odciażali morgi i jeszcze na odcieściu zyskają. Dziwili chłopów możliwości tak wielkiego i awansującego odpływu. Dziwili stale rosnące chłonność tej nowej Polski na starych i młodych ze wsi. Rosło uznanie dla rzędu robotniczo - chłopskiego, rosła dla klasy robotniczej, dla partii, nie zawsze szczerze domówione, bo w tych osłabieniach nowych rządów z pozycji tradycyjnej, prywatnej parcelli dobrze było widzieć tylko kłapę bezpieczeństwa dla rodziny, dla dzieci, zapewniła rezerwę.

W tę „rezerwę” waliła młodzież i

jeszcze roku, aby doczekał się nie dziejopisa, ale hasła organizacyjnego. Bo to, na co wskazał Nowak, wyrażać od dołu, od terenu wykonywanie przez wiejską młodzież zetempowską drogi do roli pomocnika partii, do roli młodszego brata leninowskiego Komsomolu.

Nowak tak pisał: „Rozumiem, że kiedy dziesiątki i setki tysięcy młodych chłopów odchodzi do wyższej wiejskiej zorganizowanej produkcji, do produkcji fabrycznej — to jest awans.

Kiedy masy młodzieży wychodzą ze wsi do średnich szkół i na wyższe uczelnie — to także jest awans społeczny.

Ale jest też trzeci, niemniej niż tamte ważny, a przecież w obliczu tamtych ile tracący w wyborach młodości. Musimy go bronić, musimy go podnosić w oczach młodzieży, która jest na wsi i na niej pozostanie. Dla tej młodzieży w tym awansie otwiera się pełny romantyzm naszej rewolucji.

N, czym on polega? Wyjaśnię na przykładzie. Nasza organizacja zetempowska postawiła sobie za cel tak wychować i tak przygotować swoich członków, aby mogli zająć odpowiedzialne stanowiska w kręgu gminy. Połowa pracowników zarządu gminnego to dzisiaj moi koleżdy zetempowscy... Mamy nie tylko referenta podatkowego, także komendanta SP, sekretarza koła ZSCH, bibliotekarza, i w Gminnej Radzie zasiadają nasi przedstawiciele młodzieży. Nie posiadają oni wprawdzie średniego wykształcenia, ale wyrobienie społeczne i miłość dla swojej wsi, dla swojej gminy. Ta miłość wtapia ich bez reszty w walkę klasową na miejscu. I w tej walce prowadzi do zburzenia starego, do wyłaniania nowych dzieł naszej „lokalnej ojczyzny”. Po przeczytaniu „Drogi Wolności” Becka powtarzamy sobie — toczy się walka jesteśmy na froncie; od czego zależy losy rewolucji? Od wygranej na naszym, lokalnym odcinku!

Przedownicy na szczeblu gminnym i gromadzkim wyrastają u nas bezpośrednio z masy drobno i średniolnych chłopów. Powoli ale też i nieustannie przejmują młodzież w swoje ręce kierownictwo gminne, decydują o jej najbliższych sprawach. Dawniej przejmowała „urzędy” młodzież brata, wcześniej podstarzali ich ojcowie. Dziś próbuje ona wszelkimi sposobami obalić wyrosłe z dołów społecznych wsi autorytety przedwojenne. Posługuje się plotką, intrygą i nieraz fałszywym oskarżeniem. Ma to i swoje dobre strony, mobilizuje bowiem nas aktywność do rzetelnej pracy, nie dopuszczając żadnych zarzutów.”

Koło liczy 60 członków. Wyrosło z dawnych „Wici”. Ideologicznie — jak pisał Nowak — „wzbogacił się o sojuszników robotniczych i rozumienie następującej po walce o reformę rolnej walki klasowej wewnątrz wsi z posadźkami kapitalizmu. W ten sposób my, dawni wicciarze, przesunęliśmy się na nowy etap rewolucji, której cele są wspólne z celami rewolucji proletariackiej i z nich czerpiemy nasz nowy zapal i siły.”

Mocne, duże Koło naprawiło drogi gromadzką, inicjowało i pomogło zelektryfikować wieś. Własnymi siłami, „z niczego”, wybudowali i zelektryfikowali świetlicę, urządzili boisko, dysponują drużynami sportowymi, sławną na okolicę orkiestrą (solistami 14-18-letni). Pilnują powrotu tch. co wsił do szkół. W ub. roku miały wrócić dwie koleżanki nauczycielki, dwóch licealistów ze szkoły handlowej do spółdzielni.

Oczekują na swojego inżyniera agronoma. Od naszej wsi zacznie pracę w spółdzielni produkcyjnej, da przykład całej gminie.

✱
Przenieśli się do powiatu radomszczańskiego (w woj. łódzkiej). Tu jest ten sam pejzaż okolic przedludnych, z beznadziejnymi i małowartościowymi. Radomszczańskie było sławne przed wojną z... niedzy. 30 proc. młodzieży mało i beznadziejnie znajdowało się w stałych wędrowniach do dworców, na wyreby lasów, do Łodzi, na emigrację sezonową. Tamtejsi średniacy (ziemia lica) dorabiali rzemiosłem — ciesielstwem, krawiectwem, stolarstwem. Ale było to w praktyce rzemiosło wędrujące. Chodzono daleko smarować dachy smołą, noszono koszyki, mioty, zabawki, noszono tuszeczki przetrzebione rów i k-tów. Drużowano garnki na podwórkach łódzkich miasteczek.

(dokończenie na str. 2)

WALCZĄCA POEZJA AFRYKI*)

Mourou Ben Daouda

Życie nie jest marzeniem

Życie nie jest marzeniem, mój bracie,
Wszystko ci mówi o tym na każdym rogu ulicy:
Rozkołysanie szczytów, zamykających horyzont,
Półka policjanta na twym kręgosłupie
I laska „Komendanta”, wiszącego na polach fraka
Gubernatora, co chce stworzyć z Afryki więzienie,
Ogromną kostnicę, do której igrać
Przychodzący i kruk i lisy,
Kobieta z apro wizacji, która w nos się nam śmieje,
Ty i twój głód, układający swe paczki kuponów
I handlujący, który bez powodu odmawia obsłużenia ciebie,
Kiedy w tyle sklepiu przy spleśniałej mące,
Zamoczonemu cukrze, będącym lepem dla milionów much,
Wszystko ci mówi o walce, mój bracie.
Woda skacząca w swoim wąskim łożu u podnóża
Zielonych skał, które obmywa,
Rozkręca ci dążyć stale, bez wytchnienia do Postępu,
Jak ona dąży stale w stronę oceanu.
Motyl, walczący o nektar z wojowniczą pszczołą,
Mówi ci: życie nie jest marzeniem, mój bracie!
Gwiazda, która w codziennej wędrówce walczy z cumulesem,
Nakazuje ci zwalczać stale chmury,
Chmur, kłamstw, egoizmu,
Chmury tchórzostwa i zdrady.
Wypełnij świat swym głosem, jak słońce wypełnia niebo
Światłem ogromnym i pomrukiem gromów...
I nie milcz nigdy: ani w kajdanach, ani też w niewoli.
Walcz namiętnie ze wszystkim o prawo do życia,
Czoło wysoko, bo jesteś człowiekiem, mój bracie!
Nawet gdybyś głowę kładła pod gilotynę,
Pluj jeszcze w twarz oprawcom!
Ten prztyczek przyszłych olbrzymów, okaże jutro
Twoje prawo do szczęścia,
T wą pogardę śmierci,
Nienawiść do niepotrzebnych okrucieństw i do głupich wojen,
Twoją wiarę w zwycięstwo człowieka nad mrokiem.
Niech twoja krew, tryskająca na nich,
Będzie tuniką Nessusa dla zwierząt ludzkości!
Jaskółka ze swej strony wzywa cię ku górze.
Idź, bo na szczytach gromadzi się siła,
Idź, bo na szczytach czujesz jeszcze bicie
Serca stworzeń w jednakowym rytmie.
Idź więc, by z jaskółką lepiej, piękniej śpiewać
O CZŁOWIEKU, POKOJU, WOLNOŚCI...
Idź wreszcie, by być huraganem dla niesprawiedliwych,
Idź zrywając za sobą kłamstw wielkie zasłony,
Aby na ziemi błysnęła nareszcie dzień nowy,
Dzień, który lilii użyty całej swej białości,
Dzień, który dziecku przyniesie najpiękniejszy uśmiech,
A matce głos miłości, aby nim śpiewała Skargę
na życie, na życie człowieka.
Życie nie jest marzeniem, mój bracie!
Walka jest jego prawem.
Budujmy wspólnie nowe miasto,
Ty, pochylony nad księgami i nad retortami
I ja z rydłem w dłoniach na bagnistej ziemi,
Ty, ubrany w sukno, w wełnę, w bluzę
I ja w zwyczajnym dreluchu, z nogami w drewniakach.
Myślimy o Afryce, która na nas czeka,
Myślimy o świecie, któremu tyle winniśmy!
Walcmy, mój bracie, bez wytchnienia,
Albowiem życie nie jest marzeniem!

Poeci murzyńscy nie piszą o swoich siostrach i kochankach: „panno o włosach koloru hebanu”, ale piszą: „panno o włosach koloru żalobu”. Taki jest nastrój życia w Afryce Zachodniej, gdzie panuje feudalizm, samowola francuskich urzędników kolonialnych i prawo, będące bezprawiem: ponury obraz „zachodniej cywilizacji” kapitalistycznej ludzi białych. Na 17 milionów ludności murzyńskiej w afrykańskich koloniach Francji jedynie 100 tysięcy osób ma możliwość korzystania z nauki szkolnej. Czołowych publicystów i poetów murzyńskich policja kolonialna szykanuje i przesładuje za to, iż chcą służyć swemu narodowi i społeczeństwu, a nie chcą być niewolnikami kapitalistycznych eksploatatorów swej ziemi.

W ostatnich dniach grudnia ub. r. kiedy całe społeczeństwo naszego kraju reagowało żywym oburzeniem na prześladowanie emigrantów polskich przez rząd francuski, rząd ten okrył się niemniej smutną sławą i hańbą w Afryce. Jak donosiła prasa polska, czołowi przywódcy R. D. A. (Réunion Démocratique Africaine) rozpoczęli głodówkę na znak protestu przeciw bezprawnemu więzieniu ich przez reakcyjny rząd Bidaulta. Kilku postępowych działaczy afrykańskich odwieziono w b. ciężkim stanie do szpitala. Zapewnili oni Sekretarza Generalnego zrzeszenia Gabriela d'Arboussiera, że będą walczyć do zwycięstwa. Celem tej walki jest zdobycie praw człowieka dla człowieka czarnego.

Walka ta trwa. W Grand Bassam na Wybrzeżu Kości Słoniowej doszło do potężnych demonstracji antyfrancuskich. Tłumy robotników murzyńskich protestowały przeciw swojej nędzy i poniżeniu, domagając się uwolnienia uwięzionych przywódców i działaczy, między którymi są również i poeci, jak np. Bernard B. Dadie — autor wiersza „Ja to znam” — przebywający w więzieniu w Grand Bassam od dnia 8 lutego ub. r. w następstwie bezwstydnej prowokacji policyjnej.

Murzyńska poezja Afryki jest poezją walczącą. Współczując niedoli i ciężkiemu życiu ludzi czarnych, wzywa ich ona do wytrwania i do walki ze złem. Poeci afrykańscy w twórczości swojej związali się całkowicie z życiem swego społeczeństwa. Pełne melancholii i smutku, gorzkie pointy ich wierszy, połączone z namyślnym i rewolucyjnym dążeniem do postępu i szczęścia — całkowicie oddzwierają życie i pragnienia Murzynów afrykańskich. Humanitarna i szczerze ludzka treść tej poezji włącza ją do potężnego nurtu kultury ogólnoludzkiej, w której mieszczą się wszystkie sposoby oddziaływania myśli i czynów, charakteryzujące wspólnotę psychiczną ludzkości.

Wincenty Jędrkiewicz.



Pogromy rasistowskie w Południowej Afryce — policja, dr. Malana atakuje Murzynów w Durba

Charles Traore Leroux

Nasza samotność

Jest późno i najlżejszy szmer
Nie ma ci ciszy mroku.
Co wnoszą we mnie świat otaczający,
To źródło mego serca, które drży.

W błotnistej wodzie
Sudańskich granic
Odbija się zawsze twój obraz,
Rysowany gorzkimi zmarszczkami.

Tak! być może, że masz słusność,
Gdy przychodzisz z moją samotnością
I słyszysz głos twój
Nonszalanki, wieszczu afrykański:
„Cierp, ale zawsze kocha!”

Żalony śpiew w północeniu,
Smutny śpiew na powierzchni czarnej rzeki,
Miarowy śpiew twój, wioślarzu z Bani
Ożywia oddech melopea wspomnień.
Chór beśzelnego nędzy
Wyprężył się twym wysiłkiem, okazała statua bambara.
Wzrok twój z tamtej strony długiej, bambusowej żerdzi
Wyczuwał, nie wiem jaką, niepewną głąb gliny...

*) Z miesięcznika „Europe” z maja — czerwca 1949 r. Tłumaczył Wincenty Jędrkiewicz.

Bernard B. Dadie

Tak, ja to znam.

Ponieważ nie posiadam auta,
Nie jestem dla nich człowiekiem!
Ponieważ nie jestem właścicielem zamku,
Nie jestem dla nich człowiekiem!
Ponieważ nie mam swego konta w banku,
Nie jestem dla nich człowiekiem!

Ja to znam!

Ponieważ przy zdawaniu rachunków
Nie przynoszę nic prócz projektów,
Nie jestem dla nich człowiekiem!
Marny przedmiot, który przerzuca się z miejsca na miejsce,

Przeszkadzam!

Zdarte narzędzie, rzucone na chodniki
Z głodem w wnętrznościach i troskami w sercu —

Hamuję ruch!

Ścigają mnie, jak bandytę,
Moja nędza grozi ich fortunom.
Cała zgnilizna ich tajnych agentów
Wisi na moich plecach, bo grozę ich kufrom,
Feodalizmowi, bankom, niemasyceniu i sile,
Ponieważ żebak, a brat ich w Chrystusie,
Doznaje ich chrześcijańskiej łaski.

Ja to znam! ja to znam!

Ale noc oto idzie, ogromna noc przemian
I nieśmiertelni niktą pogrążeni w cieniu,
Umierają, umierają w ostatnim blasku krzywdy,
Jutro tedy nastąpi dzień zmartwychpowstania,
Dzień zmartwychwstania narodu,
Ujarmionego świata,
Śpiew tryumfalny brudu, który żywi,

Radość ludzi złaczonych ze sobą,
Wzruszający koncert zjednoczonych serc,
Jutro zwycięstwo człowieka
I śmiech szczęśliwych kontynentów.
Biali i Żółci, Czerwoni i Czarni, odnalezieni bracia,

Tak!

Biali i Żółci, Czerwoni i Czarni odnalezieni bracia,
Wspólnie skalpelem miłości
Przetną wrzód nędzy społecznej,
Pozbywszy się egoizmu,
By nigdy więcej jakaś 202 czy jakiś Merkury Height
Nie deptał już człowieka!

Człowieka który myśli!
Człowieka który cierpi!
Człowieka który kocha!
Człowieka który żyje!
Człowieka brata!

Louis Mody

Nadzieja

„Byłem uciskany
Od czasu, odkąd byłem czarny.
Tarzali mnie w błoście,
W kurzu i w krwi.
Bili mnie, pluł na mnie postać
I chcieliby widzieć mnie leżącego
Aż u stóp drabiny.
Ale ja zmyję wszystkie te zniewagi,
Ponieważ jestem młody,
Jestem silny
I jestem CZARNY,
Tryskający światłem mej AFRYKI,
Która się budzi.
Ciężki i głęboki śpiew Dżun-dżungów
Powiedzie moje kroki.

STEFAN WILANOWSKI

PRAWDA O FORMOZIE

Na mocy traktatu w Shimonoseki z 1895 r. Chiny zostały zmuszone do oddania Formozy Japonii. Gdy wieść o tym doszła do Formozy, wybuchło tam powstanie patriotów. Formoza ogłosiła się niezależnym państwem. Głowa republiki Formozy został dotychczasowy gubernator chiński. Gdy wojska japońskie wyładowały na Formozie, gubernator uciekł, a na czele ruchu anty-japońskiego stanął Lu-Jun-Fu, jeden z przywódców ruchu „Czarnych flag”, który odznaczył się w walkach przeciw imperialistom francuskim w Annamie (dzisiejszym Viet-Namie).

Powstańcy chińscy bronili się przez 6 miesięcy, lecz w październiku 1895 r. Japończycy zdołali opanować wszystkie ważniejsze punkty wyspy. Ruch wyzwolenczy jednak nie przestawał działać. Chińczycy dalej walczyli przeciw japońskiemu okupantowi. W latach 1898—1902 Japończycy zabili 11.950 „buntowników”, z czego 2.998 skazanych zostało na śmierć przez sądy japońskich agresorów.

Ruch wyzwolenczy, w latach 1912—1915, i powstanie w roku 1930-ym zostały krwawo stłumione przez Japończyków.

Na Konferencji w Teheranie 1943 r. Alianci postanowili zwrócić po wojnie Formozę Chinom, co też nastąpiło we wrześniu 1945 r.

Zdawałoby się, że wszystko jest jasne, i nie powinno być żadnych wątpliwości, co do tego, że Formoza jest terytorium bezspornie chińskim.

Było jasne, dopóki w Chinach rządził Chiang-Kai-Szek, i jego kuomintangowska klika. Potem poglądy zaczęły się gwałtownie zmieniać.

Najpierw stwierdzono, że wyspa Formoza jest punktem strategicznym, który w żadnym razie nie powinien być bazą dla „komunistycznych wrogów” (Walter Lip-

man w „New York Herald Tribune”, 2.1.1950).

1 grudnia 1949 r. senator Smith w sprawozdaniu do Senackiej Komisji Spraw Zagranicznych zaleca: by „Formoza była okupowana przez gen. Mac-Arthura dopóki nie zostanie zawarty traktat z Japonią”, zaznaczając, że generalissimus Chiang-Kai-Szek w rozmowie z nim wyraził zgodę na okupację Formozy przez wojska amerykańskie.

Początkowo zachowywano pozor. Na pomoc Chiangowi posyłano Japończyków. Rząd Yoshidy, japońska marionetka Mac-Arthura, wysłał na Formozę w grudniu 1949 r. 4.000 specjalistów: japońskich lotników i marynarzy.

Wobec zajętego przez USA stanowiska w czasie wojny, że Formoza nie jest terytorium japońskim, trudno dziś mówić coś wprost przeciwnego. Amerykańscy imperialiści sięgnęli do innego arsenału — oszukańczego przedstawiania sprawy narodowościowej na Formozie.

W 1938 r. było na Formozie 5.650.000 ludności (Japan Year Book, 1938). Przy czym Japończycy wykazywali wśród nich: 282 tysięcy Japończyków i 59 tysięcy Chińczyków oraz 5.108.000 „miejscowych”. To była fałszowana statystyka japońska. „Miejscowi” — to Chińczycy, mówiący językiem chińskim w narzeczu Hakkas. Tej fałszywej japońskiej statystyki amerykańscy obłudnicy używają jako argumentu, że Formoza nie zamieszkuje Chińczycy, i że mieszkają Formozańcy.

Mac-Arthur stworzył specjalną organizację — Ruch dla niepodległości Taiwanu. Ruch ten rozwija swą działalność również w Hong-Kongu, gdzie go popierają Anglicy. „Studenti Taiwanu w Japonii” i „Liga dla nowego wyzwolenia Taiwanu” to amerykańsko-angiel-

skie organizacje dla fałszowania rzeczywistości na Formozie. Na czele tego „niepodległościowego” ruchu taiwańskiego stoją dwaj bracia: Liao-Wen-Yi i Liao-Wen-Kouei, dwie amerykańskie marionetki. Kollaborowali oni z Japonią, kiedy, potem nagle stali się meżami zaufania Kuomintangu. Zdrącając ci, którzy studia odbywali w Stanach Zjednoczonych, są związani z kapitałem amerykańskim, otrzymali monopol na sprzedaż benzyny amerykańskiej i robią wszystko, co im ich amerykańscy panowie każą. Oni, „Studenti Taiwanu w Japonii” i „Liga dla nowego wyzwolenia Taiwanu” domaga-



Pola ryżowe na Formozie

gają się „niepodległości Formozy” dla... Amerykanów.

Wynalazcami koncepcji „niepodległości dla Formozy” są Anglicy. Imperialiści angielscy mają więcej doświadczenia w takich „delikatnych” sprawach.

W tygodniku wychodzącym w Hong-Kongu „Far Eastern Economic Review” (6 kwietnia 1949 r.) ukazał się artykuł, w którym się stwierdza, że „Chińczycy są elementem obcym na Formozie”,

i względy narodowościowe w żadnym razie nie przemawiają za tym, by Formoza miała być częścią terytorium Chin. Ponadto, stwierdza pismo, Formoza ekonomicznie nie jest związana z Chinami, a raczej z Japonią. Szyldo wychodzi z worka, gdy jest mowa o produkcji Formozy: Formoza produkuje rocznie 1.400.000 ton cukru, 11 milionów kg herbaty, 7 milionów ton ryżu, z którego konsumuje 1/3 część, a resztę wywozi. Formoza reprezentuje 95% światowej produkcji kamfory. Produkcja energii elektrycznej wynosi ponad 300 tysięcy kilowatów rocznie. Formoza posiada bogate złoża węgla, kopalnie

Formozie to „nie Chińczycy”, to „miejscowi”, tak jak Białorusini pod Pinskiem nie byli Białorusinami tylko „miejscowymi-Poleszankami”. Japońska koncepcja narodowościowa stała się dzisiaj wygodną dla anglosaskich imperialistów; dlaczego ją odrzucić? „Naród Formozy chce żyć w spokoju.” Dlatego trzeba stworzyć „Demokratyczną Republikę Formozę”. Jak ta „demokracja” na Formozie miałaby wyglądać, mamy doświadczenie z kolonialnych rządów Anglików i Amerykanów tak w przeszłości jak i obecnie.

Dopóki w Chinach rządził Kuomintang, ani Anglicy ani Amerykanie koncepcji niepodległej Formozy nie wysuwali. To było niepotrzebne. Amerykański lokal Chiang-Kai-Szek, oddał przecież zdradziecko swój kraj w niewolę USA. Dziś, gdy Formoza ma być zwrócona narodowi chińskiemu, szuka się wszelkich argumentów, by ten konieczny fakt opóźnić.

W końcu kwietnia 1950 r. „U. S. News and World Report” doniósł, że Chiang oficjalnie wezwał Stany Zjednoczone do okupacji Formozy. 22 maja br. wiceprezydent Stanów Zjednoczonych Alben W. Barkley zapowiedział w mowie w New-Orleans „okupację dalszych krajów przez zbrojne siły amerykańskie”. Zapewne chodziło o Północną Koreę i Formozę. Dobrze poinformowany tygodnik „Time” (22.6.1950) zdradził, o co Barkleyowi chodziło, stwierdzając: „Formoza może być utrzymana i będzie utrzymywana”.

Formoza jest integralną częścią Ludowej Republiki Chińskiej. Jest rzeczą zupełnie naturalną, że wojska Ludowej Republiki Chińskiej zlikwidują resztki kuomintangowskich wojsk Chianga i zajmą Formozę.

Temu Amerykanie postanowili zapobiec, 27 czerwca 1950 r. dwa dni po napaści kliki Li-Syn-Mana na Północną Koreę, prezydent Stanów Zjednoczonych ogłosił, że „dał rozkaz 7-ej Flocie Amerykańskiej na Pacyfiku, by przeszkodziła każ-

demu atakowi na Formozę”. Prezydent obcego państwa, wbrew zawartym umowom (umowa w Kairze — 1943 r.) zbrojnie interweniuje w sprawę innego państwa!

Na Formozie został wybudowany szereg lotnisk, oczywiście nie w celach pokojowych.

Jak donosi „Far Eastern Economist Review” (Hong-Kong, 13 lipca 1950) w marcu br. rozpoczęły na Formozie pracę dwie nowe fabryki: największa na Dalekim Wschodzie fabryka papieru (celuloza) i Taiwan Steel Plant (stalownia). Czy w celach pokojowych?

Jeszcze w tej chwili nie ujawniło się, co jeszcze wymyślą amerykańscy agresorzy, jakich argumentów użyją, by uzasadnić „obronę” Formozy. Czy cynicznie bronić będą „niepodległości”, „Formozańczyków”, czy znajdują inne argumenty; czy będą działać pod skradzionym szyldem Organizacji Narodów Zjednoczonych, czy też we własnym imieniu.

Jak stwierdził to premier i minister spraw zagranicznych Ludowej Republiki Chińskiej, deklaracja Trumanowa w sprawie Formozy stanowi „zbrojną agresję przeciw terytorium Ludowej Republiki Chińskiej”; nie przeszkodzi ona jednak wyzwoleniu Formozy.

Za Mao-Tse-Tungiem i Czu-En-Laiem stoi cały naród chiński, zarówno na kontynencie azjatyckim, jak również na wyspie Formozie. Jak donosi Agencja Prasowa Nowych Chin (NCNA — Szanghaj, 11.7.1950) Demokratyczna Liga Samorządowa Formozy, organizacja masowa, reprezentująca szerokie masy ludności wyspy, ogłosiła, że „ludność Formozy oponuje przeciw agresywnym aktom armii amerykańskiej, popiera bohaterką walkę koreańskich braci; lud Formozy walczyć będzie pod wodzą Centralnego Rządu Ludowego Chińskiej Republiki przeciw amerykańskim agresorom i gangsterom Chiang-Kai-Szeka aż do ostatecznego zwycięstwa”.

Stefan Wilanowski.

ANDRZEJ OSTOJA

DROGA NA ŚWIAT

Jak daleko umiem sięgnąć — pamięć w przeszłość — zawsze widzę to samo: małe, zmurszałe chałupki pod szerniałymi strzechami; małe, zabiedzone koniki; małe, wychudłe krowiny — wszystko małe jak w jakiejś krainie krasnoludków — i ojciec mój, Wojciech Wasąg jest mały, i matka mała, i ja, Kacper Wasąg jestem mały. Gdzie spojrzę, to widzę niewysychające bagna lub piaszczyste poletka porosłe cienkim żytkiem; rzadkie ziemniaki, liche jarzyny, robaczyste owoce. Na dwóch hektarach rodu na nie wyżyje, a od ziemniaków tylko brzytwej puchną — ojciec do najmuje się do murarzy, do cieśli, do zwózki drzewa. Jak bieda przycisnie, to psy i koty łapie, ze skóry obdziera, na kłusownictwo chodzi. Urodziło się nas jedenastu, ale wyżyło tylko pięciu — reszta umarła, bo Bóg tak chciał, chociaż w istocie, to nędza ich wytknęła: gruźlica, angielska choroba, ospa, wszy, głód, bród, ciemnota i niechlujstwo. Dzieci leczono zaklęciem, zamawianiem, okadzaniem, przykładaniem fajerek lub krowiego łajna. Nikt prawie nie umiał czytać, a ci, co kiedyś chodzili do szkoły i za młodych lat trochę umieli, z upływem czasu — zapomnieli. Wiercono w piekło, w ziele duchy, czarownice, w liczne uroty, diabły i dusiolki. Książka lub gazeta do naszych stron nie docierała, a zresztą na nic by się nikomu nie zdały. Co prawda w sąsiedniej wsi była trzyoddziałowa szkoła — wpływ jej jednak na nasz rozwój umysłowy był minimalny. Chodziłszy po te naukę wczesną wiosną i późną jesienią, a zimą siedzieliśmy po chałupach, gdyż nie posiadaliśmy odzieży ani obuwia do wychodzenia. Do tego jeszcze stary Czarniecki nie umiał czytać — tużki nas, gdzie popadło, godzinami kazał klepać pod tablicą i wiecznie był pijany. Pochoził podobno ze szlacheckiego rodu i dla chłopów miał tylko wstręt oraz pogardę. Pamiętam też duszną, smutną i nudną szkołę — i pamiętam wieczny smutek i żal do naszych izb — to było coś kłusownictwa, zjeżdżającego, zastającego, zaprzającego; wszystko tym zapachem przesiąknięte. Matkę zawsze pamiętam obierającą ziemniaki, coś pierze, krząta się, zamiata, załamuje ręce, dziwi się, martwi, dziobie motyką w ogródku, nosi wodę. Zimą, gdy otwiera drzwi — obłok pary wpada do izby, a latem roje czarnych much. Jest jeszcze młoda, ale już pogięta od pracy, pokrzywiona od porodów, śmiertelnie zmęczona; twarz ma bladą i pobrużdżoną, a w

oczach rezygnacja i cierpienie. Ojciec wchodzi pochylony i czapkę wiesza na gwoździu — twarz jego też sterana, zgorzkniała — tylko niebieskie oczy jeszcze nie straciły blasku i spoglądają przed siebie z jakąś naiwną nadzieją. Chciałby jakoś wybrnąć, jakoś wypłynąć, jakoś dać radę — tak się trzępocze jak ryba w sieci — jest uczciwy, pracowity i zaradny... ale nie z tego: nikt naszej nędzy nie zmocze. Podłoga wysypana piaskiem — siedzę na tej podłodze i bawię się patykami — muchy ciemną chmurą wiszą nade mną... achi muchy są wszędzie; na rękach moich, nogach i ustach; na szybach i na jedzeniu; na suficie i na garnkach; wszystko popatrzone, rojące się, zakazane — wszystko ogarnięte jednolitym, obrzydłym brzęczaniem. Ojciec siedzi na zydlu, bezmyślnie spogląda w przestrzeń, a ręce sięgają mu prawie do samej ziemi: spracowane, gruźlowate, czarne ręce. Pracy jego nie starcza na siedem osób (bo mam jeszcze czworo rodzeństwa) — nie ma co jeść, nie ma w co się ubrać, nie ma się za co kształcić — jak czarna mara na warcie pozostaje ten kwaśny żal, te muchy, ta gorzka, ta bieda. W kacie stoi prymitywny stół garbarski; w wolnych chwilach ojciec na nim wyprawia skóry psie i kocie — do kwaśnego zaduchu w takich chwilach dochodzi jeszcze zaduch padliny.

Czasami, przeważnie w soboty, przychodzi do nas w odwiedziny miasto, brat ojca, stryj Bartłomiej Wasąg. Tak samo wasaty jak ojciec, tylko wasy ma jeszcze dłuższe — i takie same ma niebieskie oczy, tylko może bardziej pochmurne, więcej twarde. Za młodych lat poszedł do miasta. Nie mógł znieść nędzy młodości. Pracuje w górnym przy odlewach żelaznych. Z miejska już się nosi i zegarek posiada srebrny, z blyszczącą dewizką.

Rzućta wy to wszystko — powiada — sprzedaj. Pójdziecie do miasta; pracować będziecie jak ludzie i żyć jak ludzie. Na dwóch hektarach nie usiedziecie. Zjedzą was te plachy i błota, a dorobić też wiele nie dorobicie, bo jaka tutaj robota? Nie ma dla was ratunku!

Ojciec kiwa głową, ale nie może się zgodzić, bo jakże to? Ojciec ojca siedział na tej ziemi i dziad, i pradziad — tak było od wieków, a on jest przecież najstarszy. Pewnie z tysiąc lat już siedzą Wasagowie w tej Krasnej — teraz mieliby odejść? Następnie ojciec do siebie wie, jak to jest w mieście; dzisiaj masz pracę — bo akurat po-

trzeba ludzi do fabryk lub na kolej; niech się skończy robota albo nie spodoba się jakiemu fabrykantowi lub jego radcy i zaraz cię wyrzucą na zbity łeb, na ulicę. Tęta jest nędza, wiadomo, ale jakiś ziemniak zawsze się jeszcze znajdzie, no i ten dach nad głową.

— To jest prawda — potwierdza stryj po namyśle — chociaż już może długo tak nie będzie. My się teraz organizujemy, to znaczy zrzeszamy. Powstają związki zawodowe i z tego będzie wielka siła: wszyscy z jednego i jeden za wszystkich. W razie jakby więcej nas wyżytkiwali albo jaką nową chcieli zrobić krzywdę, wtedy rzucamy pracę, strajkujemy i fabrykant, jak nie chce stracić, musi iść z nami na ugodę. Ma się rozumieć fabrykanci są przeciwko nam i ich rząd jest przeciwko nam, policja i urzędy, ale my walczymy i będziemy zwyciężać! Nie jednego już zatkali, nie jeden gnije w kryminalu, nie jeden też tuła się bez pracy — przyjdzie jednak taki dzień, że zwyciężymy!

— Daj Boże — mówi ojciec — daj Boże, ale nie wierze.

— Dlaczego nie wierzysz?

— Za duża siła przeciwko wam: rząd, wojsko, policja, bogacze... nie strzymacie!

— Nie bój się — odpowiada stryj — strzymamy... jak nie teraz, to za rok, za dwa, za trzy... nas jest więcej i my wiemy o co chodzi. Przyjdzie taki czas, że i wy do nas dołączycie; każdy, kto jest biedny i wyżytkiwany musi do nas dołączyć, a wtedy nikt nam nie da rady.

— Ja tam nie wiem — mruczy ojciec i drapie się w głowę.

— A ja wiem — twierdzi stryj — dobrze wiem jak to jest, ale za to ty sam dobrze nie wiesz, kto ty jesteś — robotnik czy chłop? Z samej ziemi nie wyżyjesz, więc się wynajmiesz, gdzie popadnie: do murarzy, do cieśli, do drwali, do zwózki, do leśnictwa albo do dworu. Za swoje żytko płacą ci parę groszy, a za pracę jeszcze mniej; kto tylko chce, to ciebie wyżytkuje, a dlaczego? — bo ty jesteś ciemny, bezbrunny, niezorganizowany człowiek; nikt za tobą nie stoi i ty nie masz żadnej obrony ani siły — ale z czego ty żyjesz? Z pracy swoich rąk i za to żyje z pracy swoich rąk. Kto ty jesteś? Chłop z Krasnej — Wojciech Wasąg, a kto ja jestem? Ja jestem twój brat — robotnik Bartłomiej Wasąg. Czy jest między nami jaka różnica? Jak myślisz?

— Ja tam nie widzę — pomrukuje ojciec i drapie się w głowę.

— Jak nie widzisz — dodaje stryj — to znaczy, że nie ma; a jeżeli nie ma, to znaczy, że razem powinniśmy iść, jeden za drugiego walczyć i jeden drugiego wspierać. Nie ma różnicy czy ubogi chłop, czy ubogi robotnik i dlatego musi być między nami zrozumienie i — zjednoczenie!

— Ty idź i powiedz to tym... tam na kolonii — rzuca ojciec.

— Wiesz dobrze — stryj uśmiechnął się poessnie — że do nich nie pójdę i nie będę z nimi gadał, bo by i tak mnie nie zrozumeli, a jakby zrozumeli, to w tej chwili polecą na policję z pyskiem i doniosą, że ja tu bunt jakimś zamierzam uczynić. Nasze połączenie nie wyszło by im na dobre. Bogaty biednego nie rozumie, tak samo jak syty głodnego. Oni żyją z wyżytku swoich parobków albo takich nędzarzy jak ty. Kto ma dwa hektary ziemi, ten nie będzie równy takiemu co ma ich trzdzieści — nie będą oni jednym głosem śpiewali!

Sobotni wieczór zmierzchał, a dwaj bracia rozmawiali ze sobą i naradzali się nad swoim życiem. Matka zapalała smrodliwą lampkę naftową i ustawiała przed nimi talerze z kapuśniakiem lub barszczem. Czasami również popili wódkę, ale nie często to się zdarzało, gdyż nie mieli pociagu do kieliszka, a i pieniędzy im również na takie zbytki brakło.

Chociaż małym byłem w tych czasach chłopcem, uważałem tym rozmowom przysłuchiwałem się, nie wiele co prawda z tego rozumiejąc. Mielisze zdawałem już sobie jednak z tego sprawę, że ojciec jest człowiekiem słabym, zrezygnowanym, który pogodził się ze swoim losem i nie zamierza podjąć walki o lepsze życie, natomiast stryj Bartłomiej wydawał mi się bardzo potężny i odważny. Rozumiałem już wtedy, że należymy do klasy biedaków. Byłem kilka razy z matką we dworze i widziałem tam przepych lśniących pokoiów; znałem również naszych wiejskich bogaczy. Mieszkałi oni obok naszej wioski na wzgórzach, gdzie ziemia była dobra, nie piaszczysta i nie podmokła. Mielili razem osiem gospodarstw w kolonijach — przy każdej kolonii był ładny ogród owocowy. Chodziłem z ich dziećmi do szkoły — tylko, że oni, dostatnio ubrani, jeździli przeważnie wozem, a ja na pół nagi i boso chłapałem po drodze, często tonąc po kolana w błocie; oni jedli mięso i pili kawę z cukrem, a ja kartofle i wodę; oni mieli na książki i zeszyty, a ja uczyłem się z pożyczanych książek i tylko jeden posiadany zeszyt do wszystkiego. Historię bogactwa tych ludzi znałem dość dobrze, bo się o tym u nas mówiło. Taki Paliwoda był początkowo młodością i klepał biedę wraz z nami, aż mu umarł jakiś krewny w Ameryce i zapisał kupę

dolarów — albo taki znów Świsłak zaczął swoją karierę od domokraczy, dorobił się sklepiku, a następnie karczmy. Można rzec, że on w głównej mierze rozpił ludność, a zwłaszcza młodzież naszej wioski; w jego karczmie legły się kłótnie, bójkę, rozprawy nożowe kończące się ranami, kalectwem, a nawet śmiercią. Puchł na „ciwartkach“, które mu wszyscy pijani znosili i na lichwiarskich zyskach z pożyczanych pieniędzy. Paliwoda był u nas soltysem, a reszta w przeważającej większości wchodziła w skład rady gminnej — rzadzili się też jak chcieli: wyznaczniki szarwarki, sprzeciwiali się wszelkiemu postępowi lub oświacie, ustanawiali ceny na produkty i pracę, ostatnie grosze i siły z ludzi wysysali. Nie było pomiędzy nami, a nimi żadnej łączności, pomocy ani zrozumienia. W miarę jak przybywało im wszystkich razem hektarów, krów, koni i wladzy, to ubywało im serca i sumienia, aż wreszcie wytworzył się jakby front, na którym z jednej strony znajdowało się naszych pięćdziesięciu młodości reprezentujących około 200 hektarów i po drugiej stronie osiem bogaczy z blisko 300 ha ziemi; do tego trzeba dodać, że za nimi stała władza ze starostą i urzędem ziemskim na czele, gmina, policja, plebania, nawet częściowo nauczycielstwo — a za biedakami nikt nie stał.

Ja w tych czasach umiałem już jako tako czytać oraz ledwie co pisać, ale poza tym rosłem jak jaka roślina, jak ziele przy drodze —



nikt się mną nie zajmował i nikt o mnie nie dbał; matka zajęta gospodarstwem i młodszym rodzeństwem nie miała na to czasu ani zwyczajnie siły; była to kobieta niezwyklej dobroci, ale fizycznie słabowita, zawsze zapracowana ponad swoje możliwości. O ojcu nie ma co nawet mówić, bo harował od świtu do nocy, a jak powracał do domu, to na pół śpiący potykał swój barszcz z kartoflami i jak podcięty zapadał w sen. Co prawda zimą miał nieco więcej czasu, ale i wtedy pracował w lesie lub wyprawiał swoje skórki. Rzecz prosta w tym twardej życiu nie było miejsca na normalne dzieciństwo. Nie pamiętam, abym kiedy miał czas na zabawę lub dokazywanie z chłopakami. Mając pięć lat już nazywałem młodszą o cztery lata siostrę, zbiegałem chrośt, paliłem w piecu, obierałem kartofle, nosiłem wodę — po czym rozpoczynało się pasanie gęsi, a gdy trochę podrosłem — krowy. Mogłbym nawet swoje lata dziecięce rozbić na dwa okresy: „gesioowy“ i „krowiany“.

W okresie „gesioowy“ wydaje mi się, że byłem jeszcze bardzo głupi i wcale nie umiałem myśleć. Świat przetrzął do mojej głowy w postaci niełiczonych zdarzeń i obrazów, ale nie rozumiałem przyczyn i nie umiałem wnioskować. Na ogół zgadzałem się ze zdaniem starszych. Powieśli się stary Józwa; nawet widziałem jak go od sznura odcinali i zrobiło to na mnie wstrząsające wrażenie; spać po nocach nie mogłem. Powiadali, że na licytacji miało iść jego gospodarstwo, bo zapożyczył się u Świsłaka i nie mógł oddać. Długo wymyślała na gruzlice cała rodzina Sielwanych. Sparta kilka młoda Smoluchowa; postawili jej na brzuchu gorący garnek; cały brzuch wciągnęło do środka, no i umarła. Pokrajali się nożami Wicek z Jakiem, chociaż byli przyjacieli. Po pijanemu stodołę podpalił i byłoby całą wioskę z dymem puszczli. Ładna Józka od Lipców poszła na służbę do dworu śmigła jak ta topola, a powróciła do domu z bruciem. Postawili się leśniczemu Grzankowi — ojciec z synem i policja nogi im połamali. Różnie o tych sprawach u nas mówiono; przeważnie powiadało: dopust Bóży, Bóg tak chciał, wola Boska. W głębi duszy nie bardzo mogłem się z tym pogodzić; wydawało mi się, że Bóg nie może być zły, ale widząc dorosli lepiej to wiedzą ode mnie.

Łaziłem ze swoimi „gesiami“ po łąkach. Z jednej strony woda i z drugiej strony woda — tam Wisła, a tu San, ale nie widać, tylko bagna podchodzą pod samą wioskę. Niebo jest błękitne, szumią wierzby, szmerze woda w potoku. Pasła wtedy swoje gąski i Marysia od Paliwodów. Jeszcze wówczas nie dostał dolarów i nie był takim wielkim bogaczem. Miał

szczęśliwą twarz, jasne włosy, oczy modre, wielkie jak talerze, cienkie ręce i nogi, opalone policzki. Jak jej nie było, to cknęło mi się i chciałem zaraz wracać do domu, a jak była, to siadał obok siebie nad potokiem i milczeliśmy lub prowadziliśmy półgłosem urywane, oszczędne rozmowy. Później stopniowo z okresu „gesioowego“ przechodziłem w okres „krowiany“ i był taki czas, gdy obydwa okresy zachodziły na siebie: w pasaniu gęsi zaczynała już mnie zastępować siostra, a ja zastępowałem matkę w pasaniu krowy. Wtedy też poczułem w sobie pierwsze zdziwienie i w głowie zaczęły powstawać pierwsze pytania: po co, czemu, dlaczego? Nie mogłem w żaden sposób pojąć jak to tak jest, że świat dzieli się na biednych i bogatych, a stąd dalej na szczęśliwych i nieszczęśliwych; na mądrych i głupich. Przecież jeden jest świat i dla wszystkich powinien być jednakowy? Czemu my jesteśmy nędzarzami, a chłopcy z kolonii bogaczami? Czy rodzice moi nie pracują ponad siłę? Czy jest między nami jakaś inna różnica, prócz tej, że oni przypadkowo posiadają pieniądze, a my nie? Czy jest w tym jakaś ich własna zasługa, że jeden dostał dolary z Ameryki, drugi dorobił się na rozboju, a ja demoralizowaniu ludzi, trzęci i umiał do ostatnich granic wyżył i wyżył swoją służbę, czwartą pożyczką i pożyczką na lichę, piątą oszukiwał przy dostawach wieprzków do wojska,

tego nowego świata, ale trzeba po niej iść, bo kto stoi na miejscu, ten się cofa. Musi być zmieniony cały nasz ustrój, którym rządzą pieniądze i stąd wszelka władza skupia się w rękach ludzi bogatych lub ludzi bogatych na ich usługach. Trzeba obalić kapitalizm, który opiera się na wyższości biednych nad bogatych; na chciwości i egoizmie bogatych, a na to miejsce musi być wprowadzony socjalizm, który zniszczy prywatne władanie narzędziami produkcji, a wprowadzi natomiast władanie społeczną; zaprowadzi równość praw i równy podział mienia i pracy. Walka o nowy ustrój podjęli już robotnicy, podjął ją proletariatus całego świata — trzeba jeszcze, aby do tego ruchu doszli bezrolni i młodości chłopci, a wówczas wytworzy się wielka siła, która zniszczy niesprawiedliwość i wyżył.

Nie wszystko zrozumiałem z tego co stryj mówił, ale wydaje mi się, że odczułem wszystko całym sercem. Stryj zresztą nieustannie powtarzał, że chłopcy i robotnicy to jedno — jakby dwie strony tego samego medalu — tyle tylko, że jedni pracują w fabrykach, a drudzy na roli; że mają wspólne interesy i wspólne cele, i że wcale nie tworzą jakichś odrębnych światów, tylko jeden ogólny i powszechny świat pracy, świat robotniczo-chłopski.

Ten okres „krowiany“, choć nie długi, był chyba najpiękniejszym okresem mojego życia, a w każdym razie najbardziej pożytecznym. Stryj często ze mną rozmawiał i przynosił mi różne książki oraz broszury; niektóre z nich miałem nakazane czytać pokrokiem. Krasula nasza była bydlęciami spokojnym i do szkody nie laża, to też miałem dość spokojnego czasu na czytanie. Z początku walczyłem z wielkimi trudnościami, bo nawet czytać porządnie nie umiałem i musiałem sylabizować, a już jeśli chodzi o trudniejsze zwroty, to w ogóle nie rozumiałem i zdarzało się, że plakałem ze złości. Powoli jednak nabierałem wprawy i w mojej pustej głowie zaczynało się coraz bardziej rozwijać. Dziwnym trafem pierwszą książką jaką mi stryj dostarczył była historia Marysi i krasnoludków Marii Konopnickiej z pięknymi, barwnymi obrazkami. Sylabizowałem ją z zapartym tchem i z wypiekami na twarzy wsołnie z Marysią Paliwodówną. Na tej też książce nauczyliśmy się razem dość płynnie czytać. Później czytałem Sienkiewicza, Orzeszkową, Strugę, Prusa, Przybyszewskiego, Giesiowski, Umińskiego, Verne'go, Reymonta, Londona. Po pewnym czasie czytanie nie sprawiło mi już trudności i wprost polykałem książki, czytając przy każdej sposobności. Dowiedziałem się z nich wiele o szerokim świecie i o ludziach. Dużo z tych książek przeczytałem wsołnie z Marysią, gdyż miała ona taki sam pociąg do czytania jak i ja.

Trwało tak ze dwa lata, aż kiedyś stryj uznał, że jestem już starszajacym czytelnikiem i że mogę przejść na lekturę innego rodzaju — w ten sposób zapoznałem się nieco z historią, geografią, przyrodą, a nade wszystko z książkami i broszurami traktującymi o socjalizmie w oświeceniu samych Marksów i Engelsów oraz Kautsky'ego, Bebeli, Plechanowa, Róży Luksemburg i innych. Książki te i broszury były na ogół przystępnie pisane, więc wiele już sam mogłem zrozumieć, a inne rzeczy w miarę możliwości wyjaśniał mi stryj Bartłomiej. Pojąłem już skąd wynika i na czym polega niesprawiedliwość ustroju kapitalistycznego, jak wiedziałem, że tylko solidarność światowego proletariatus może ludzi spod tego jarzma wyzwolić. Tak jak początkowo przy nauce czytania, tak teraz przy nauce socjalizmu, musiałem rzecz prostą pokonywać mnóstwo trudności wynikających z braku możliwości przygotowania oraz z ciężkich warunków w jakich wiedzę moją zdobywałem. Latem i w dni pogodnie nie miałem większego zmartwienia, gdyż zupełnie mi wystarczała byle trawa lub powalona wierzba nad strugą, natomiast w czasie niepogody lub w długie miesiące zimowe, czytałem, a raczej uczyłem się, gdzie się dało i kiedy się dało — o godzinie porach dnia i nocy — w chałupie, na strychu, w stodole, w oborze. Szczęśliwie rodzice, pod wpływem niemałym stryja, nie przeszkadzali mi w tym zajęciu, jakkolwiek musieliśmy zawsze zrobić co do mnie należało. Dużo kłopotów pod tym względem przysparzało mi młode rodzeństwo, to też często wcale nie mogłem skulić myśli.

Kiedyś, a była to ostatnia Wielkanoc przed wybuchem wojny, odwiedziłem stryja w miasteczku i rozmawiałem z nim już prawie jak równy z równym; doskonale rozumiałem każdą jego myśl, a on mnie też dobrze rozumiał. Równie się do pracy społecznej, do walki, do jakiegos czynu. Powiedziałem stryjowi, że nie mogę dalej siedzieć tak beczynie i zapomniałem co tego zaniem mógłbym uczynić dla socjalizmu? Stryj długo podkręcał waga i spoglądał na mnie spod oka, wreszcie powiedział: „Wszystko, co uczynisz dla dobra gromady, mój Kacperku, będzie drogą do socjalizmu“ — namyślał się chwilę i dodał: „Wszystko co podnosi życie gromady na wyższy stopień jest drogą do socjalizmu.“

Andrzej Ostoja.

Jan Maria Gisges

Naprzód chłopci pracujący!

Linia już wytoczona prowadzi w głąb gminy na znak pamięci o tych, którym nafta zbrzydła.

Wiatry wiążą drutami na żelazach masztu, bliżej białych obłoków jak prędkie jaskółki elektromonterzy niebiescy pogoda. Twarde ręce spokane znające wysiłek są jak wiedza o jutrze. Więc łączą wieś z miastem.

Kiedy słońce wsunęło blask w środek kominów, od wsi na nich naskoczył wrzask szarej gromady, który wkrótce ich obiegł lepkim błotem zwały — u stóp zamknął się pierścień błyskających widel. Wściekła ręka wroga nasłania swych posłów, aby słupów nie stawiać na ziemi prywatnej.

Nogi mocne i pewne w robotniczym marszu, zeszyły pomiędzy twarze skrzywione od gniewu. Ręką silnym, napiętym jak zawsze druty przyszło zdejmować żmudnie złość z oczu nabiegłych krwią i z ust zgrzytających piaskiem nienawiści. Pięści. Błysk widel. Napór chłopów na krawędzi.

*

Ta noc była bezgwiezdna, wietrzna i ponura. Co raz to któraś buda zawały psim głosem. W noc taką ludzie siadają na ławach zwykli wspominać zmarłych lub okropność wojny.

W tę noc drzwi zaskrzypiały złym, kaśliwym zgrzytem w ostatniej chacie, co się w jęk przepoili kasztana na rozstaju. Zamknięta w milczeniu kobieta lisim krokiem pobięła zapłociem w czerwonej zapasce jak w ogniu swój cel kryjąc.

Tam gdzie leżały białe i zielone fajki, gniazda namiętnych pieśni wylustnych polnych ptaków, fajkom hutnik kształt dawał wyszłak o postępie, tam, gdzie słupy i ziemia pachniały świeżością ledwie dziś zoranego wielkiego ugoru — pochylona kobieta o głowie bez twarzy ale znanym imieniu, motyką wytukła szklane gniazda powiązając uczucia ze światem.

— „Diabła nie kuście. W chałupie mi nie trza twego pomiotu, przeklęty zły duchu. Jeszcze burze, pioruny na wieś sprowadzić razem z elektryką — niejskie komunizty!“ —

Pomruk baby i brzęk szklą tłuczonego wleczce za sobą psie szczekanie w niewidoczne echo.

*

W tę noc bezgwiezdna, wietrzna i ponura tam, gdzie przez wieś przeszła stopa elektryka — w sąsiedztwie poza lasem upojonym wiatrem — chłopka w siwiznę włosów zaszyta głęboka, po Zorany Ugorze ciężkim palcem wodzi. Towarzyszu Szolochow — jestem u Was z wizytą.

Jan Maria Gisges.

Nasze doświadczenia

IAN BORZECKI

U PROGU OFENSYWY

Jako uczestnicy kursu przygotowawczego na Wyższe Uczelnie Łódzkie głęboko odczytaliśmy słowa kol. Władysława Matwina. Uderzyły nas zwłaszcza następujące słowa referatu wygłoszonego na Plenum Rady Naczelnej ZMP: „Ze szczególną jednak wściekłością obóz reakcji broni swych pozycji na terenie szkół średnich, gdzie wróg próbuje przejąć do kontrofensywy. Nierzadko udaje mu się zdobyć wpływ na oddzielne grupy młodzieży, a niektóre z nich zdemoralizować, ogłupić czadem reakcyjnego fanatyzmu i pchnąć przeciwko ludowi oraz jego władzy. Kontrofensywa reakcji przeciwko siłom socjalizmu i demokracji na terenie młodzieży przedstawia istotne niebezpieczeństwo”.

Na kursie przygotowuje się do studiów wyższych około 1000 młodzieży ZMP-owskiej. Przed kilku zaledwie miesiącami otrzymaliśmy świadectwa dojrzałości. Dojrzałości — do czego? Takie pytanie postawiło sobie wielu spośród nas, już po kilku dniach uczęszczania na wykłady. Z miejsca bowiem ujawniły się nie tylko braki ale nawet sprzeczności pomiędzy naszą gimnazjalną wiedzą a uniwersytecką, z którą obecnie zapoznaliśmy się.

Jest nas na kursie wychowanków tej samej prowincjonalnej szkoły średniej 5-ciu ZMP-owców. Wszyscy jesteśmy synami drobnych chłopów, wszyscy zdaliśmy maturę bardzo dobrze, lub conajmniej dobrze. Zamierzamy poświęcić się pracy pedagogicznej, chcemy ukończyć polonistykę.

Nasi nauczyciele i wychowawcy w liceum byli bardzo szanowani w całym miasteczku. Uczą już od wielu lat, kilku nawet obchodziło niedawno jubileusz 25 lat pracy na „niwie szkolnej”. Nasi nauczyciele zajmują od lat przy nauczaniu niezmiennie stanowisko: „rzetelnego i pełnego obiektywizmu”. Bardzo nam się początkowo ta postawa podobała. Otrzymywaliśmy — jak wielu z nas sądziło — pełną, rzetelną i wszechstronną wiedzę. Każdy problem „naświetlano” z rozmaitych punktów widzenia. Dla przykładu: wykładowca propedeutyki nauk społeczno-gospodarczych mówił przez szereg godzin na temat współczesnej polityki agrarnej. Dowiedzieliśmy się o dunskiej kooperacji rolniczej (powiedzione z uznaniem) fermerskiej kolonizacji w USA (potraktowane z dużą sympatią) kolchozów w Związku Radzieckim i PGR-ach w Polsce (zrelacjonowane chłodno — „obiektywnie”). Pamiętam jak dziś zakłopotanie tego wykładu: oto były najnowsze, współczesne koncepcje polityki agrarnej. Każdy rzetelny człowiek sam wybierze najlepszą z nich. Nie wybraliśmy żadnej, nie potrafiliśmy.

Wykładowca nauki o Polsce i świecie współczesnym był marksista. Wykazywał na wstrząsających fak-

tach, co oznaczało wkraczanie kapitalizmu na wieś. Zdawało się nam, że rozumiemy wreszcie istotę liberalizmu — kapitalistycznego uwłaszczenia. Ale nasza polonistka sprawiła, że znowu owładnęło nami uczucie niepewności. Mówiło się długo na lekcjach literatury ojczyźnej o powieści chłopskiej końca XIX i początku XX stulecia. Podany przez nauczycielkę kontekst społeczno-gospodarczy dla tej literatury wyglądał mniej więcej tak: po długowiekowej niewoli pańszczyźnianej — pękły kajdany feudalizmu. Chłop odzyskał wolność osobistą, nadano mu na własność ziemię, którą tak bardzo i nade wszystko ukochał. Literatura nasza aż roi się od wymownych świadectw chłopskiego przywiązania do ziemi. Prosty ślimak nie oddaje ojcowi, podczas gdy feudalna szlachta sprzedaje ją za judaszowe srebrniki, umiera polski chłop Boryna trzymając w słonowych rękach garść własnej ziemi.

Nasz szkolny marksista wykazywał na przykładach gwałtownego procesu proletaryzacji, lichwy, wyzysku i masowych emigracji za chlebem, że kapitalizm wyrzucał z ziemi miliony uboższych chłopów. Nasza polonistka czarowała nas widząc chłopów posiadacza, związanego nierozdzielnie z własnym skrawkiem ziemi. W rezultacie znaliśmy „różne punkty widzenia”. Wiedzieliśmy prawie wszystko, niczego jednak na pewno.

Jeżeli chodzi o mnie to bomba pekała przy maturze. Przedstawiciel czynnika społecznego zapytał mnie o sytuację społeczno-gospodarczą chłopów u schyłku XIX wieku. Mówiliśmy właśnie o powieściach Remonta i Orkana. Odpowiedziałem, że to zależy z jakiego punktu widzenia spojrzymy na sprawę. Przytoczyłem następnie punkt widzenia polonistki i naszego jedynego w szkole marksisty — nauczyciela. Przedstawiciel czynnika społecznego oświadczył dyrektorowi, że w szkole panuje dyktandowy, liberalny eklektyzm.

Dziś rozumiem, że miał rację. Nasi nauczyciele nie byli ani „rzetelni, ani obiektywni”. Po prostu liberalowie. A postawa liberalna ma swoje głębokie konsekwencje światopoglądowe, więc i polityczne. Wiedzieliśmy, że są rozmaite poglądy, czy „punkty widzenia” na określone sprawy, nauczono nas, że poglądy te za sprawą wielkich ludzi zmieniają się. Lecz kierunku tych zmian przewidzieć nie potrafiliśmy. Podmiotem działającym jest człowiek a człowiek to istota nieznana (historyk).

To prawda, że wszystko się zmienia, ale prawda jest również, że są i działają prawa rozwoju. Wskazywał na nie młody marksista. Czynił to nieśmiało, bał się popaść w konflikt z jubilatami, pracującymi ponad 25 lat na „niwie szkolnej”. Sam rozpoczął pracę pedagogiczną dopiero w 1945 roku. Kwalifikacje nauczycielskie otrzymał już w Polsce

Ludowej. Dziś odrzucamy podawaną przez niego wiedzę jak najcenniejszy skarb.

Liberalizm naszej placówki nauczania objawiał się również w społeczno-organizacyjnym życiu młodzieży. Nasza szkoła — jak wiele innych — posiadała szereg kółek naukowych: polonistyczne, historyczne, przyrodnicze, języków obcych i marksistowskie. Polonisci specjalizowali się pod okiem nauczycieli w „odczuwaniu i przeżywaniu” piękna literatury. A przecież być kulturalnym to znaczy nie tylko odczuwać, przeżywać emocjonalnie, lecz także i przede wszystkim rozumieć związki pisarza z formacją społeczno-gospodarczą. Dzieło literackie jest zawsze klasowym odbiciem rzeczywistości. Historycy doskonalili się w rozmaitych poglądach na dzieje. Marksistowska teoria rozwoju społecznego była również dyskutowana na zebraniach, ale nie jako jedynie prawdziwa, lecz tylko jako jedna z wielu. Podobnie ustosunkowywali się członkowie kółka przyrodniczego do prac Mieczurina i Łysenki.

W rezultacie, nawet wśród nas ZMP-owców, urobiło się przekonanie, że nie ma różnic klasowych pomiędzy młodzieżą szkolną, nie może być walki klasowej w ramach szkolnej społeczności. Mogą istnieć natomiast a nawet są wskazane — różnice punktów widzenia, których dyskusowanie poszerza znacznie horyzonty myślenia i bogaci wewnętrznie człowieka.

WŁADYSŁAW DRĄBIK

PIERWSZA PRÓBA SAMOKRYTYKI

Przewodniczący Zarządu Głównego ZMP, kol. Władysław Matwin, wezwał nas ZMP-owców, pracujących w kołach terenowych do gruntownej i rzeczowej samokrytyki. Samokrytyka, rozumiana jako dokładna analiza braków i osiągnięć naszej pracy, powinna zmobilizować w rezultacie aktywność do lepszej i wydajniejszej pracy. Nie we wszystkim jest przecież w wielkich kołach ZMP dobrze.

Czynię pierwszą w moim życiu próbę oceny sytuacji w mojej rodzinnej wsi, chcę wykazać, na czym polegają nasze niedociągnięcia, jakich należy dokonać reform w pracy.

W mojej wsi istnieje koło ZMP, którego jestem członkiem, lecz działa ono bardzo niesprawnie, ponieważ brak jest odpowiednich sił do wychowywania ideologicznego i kulturalnego młodszych i starszych chłopów. Przewodniczący koła, tak jak i członkowie, nie posiada należytego przygotowania naukowego. Dlatego to młodzież w naszej wsi jest bardzo słabo zorientowana w życiu politycznym i społecznym Polski Ludowej, nie mówiąc już o zagadnieniach międzynarodowej polityki. A przecież dokładna znajomość polityki pokojowej naszego obozu, któremu przewodzi Związek Radziecki, znajomość współczesnych metod działania imperializmu — jest konieczna. Wiem, jak chyba nigdy dotąd, żyje wydarzeniami politycznymi, ale nie zawsze dobrze rozumiem, dlaczego imperializm zawsze przynosi ze sobą nędzę mas chłopskich. Chłopi myślą bardzo często, że w państwach gdzie jest duży kapitał, na wsi nie może być źle.

Trzeba dokształcać na odpowiednich kursach członków koła, wciągnąć do pracy jak największą ilość członków, w tym i nasze koleżanki. Trzeba stanowczo sprowadzić biblioteczkę świetlicową, której brak daje się bardzo odczuwać, trzeba zachęcić młodzież do czytania książek, ponieważ większość młodzieży, szczególnie chłopów, za mało interesuje się książkami. Następnie trzeba prowadzić w sposób stały świetlice, wystawiać różne imprezy, uprawiać sport i inne rozrywki w formie zorganizowanej — trzeba pokazać chłopom prawdziwe oblicze ZMP i wyświetlić, jak fałszywe są argumenty podszeptane im przez reakcję o naszej organizacji.

Dalsza ważna kwestia, to sprawa analfabetów. Z bólem muszę przyznać, że są jeszcze członkowie naszej organizacji ZMP, którzy piszą z trudem i były wypadki, że gdy trzeba było podpisać deklarację lub legitymację, to dany członek zawstydzony, pod jakimś pozorem siedł w kącie, aby nie patrzano na niego, gdy pisał niezgrabnie swoje nazwisko. Stan ten trzeba koniecznie zmienić, bo w innym razie nie może być mowy o szerzeniu postępu na wsi. W tym celu trzeba zorganizować wieczorowy kurs dokształcający dla półanalfabetów, których we wsi także jest dużo. Zdolnych, posiadających przynajmniej 6 klas szkoły powszechnej, trzeba zachęcić do nauki czy to drogą kore-

W ten sposób przygotowywano nas do wejścia na Wyższe Uczelnie, w pełne życie społeczno-polityczne. Zbieramy dziś trochę gorzkie owoce takiej edukacji. Idziemy, unosząc w głowach „obfitość rzeczy”, w Polskę zmierzającą do socjalizmu, gdzie nie może być mowy o rozmaitych „punktach widzenia”. Jest jedna tylko prawda — dialektyczny bieg dziejów, głęboka nauka o procesie rozpadu społeczeństw klasowych i formowaniu się w walce — bezklasowych. Musimy odrabiać zadanie.

Nasze doświadczenia powinniśmy wykorzystać wszyscy ZMP-owcy, pozostający w średnich szkołach. Za uśmiechniętymi twarzami „pocziwych starszków” krył się nieraz wróg klasowy, który podważał naszą wiarę w naukowy pogląd na świat.

Zawinił mi się i my. Nie docenialiśmy szkolenia ideologicznego w kole ZMP i kółku marksistowskim. Mocne słowa przewodniczącego Zarządu Głównego Związku Młodzieży Polskiej — kol. Matwina wskazują jednak wyraźnie na to, że nasz związek rusza do generalnej ofensywy w szkołach średnich przeciwko liberalizmowi w nauczaniu, przeciw wszelkim wrogom klasowym, rusza do walki o jednoznaczny, naukowy pogląd na świat — marksizm-leninizm. Hasło rzucone w samą porę, zbliża się bowiem nowy rok szkolny.

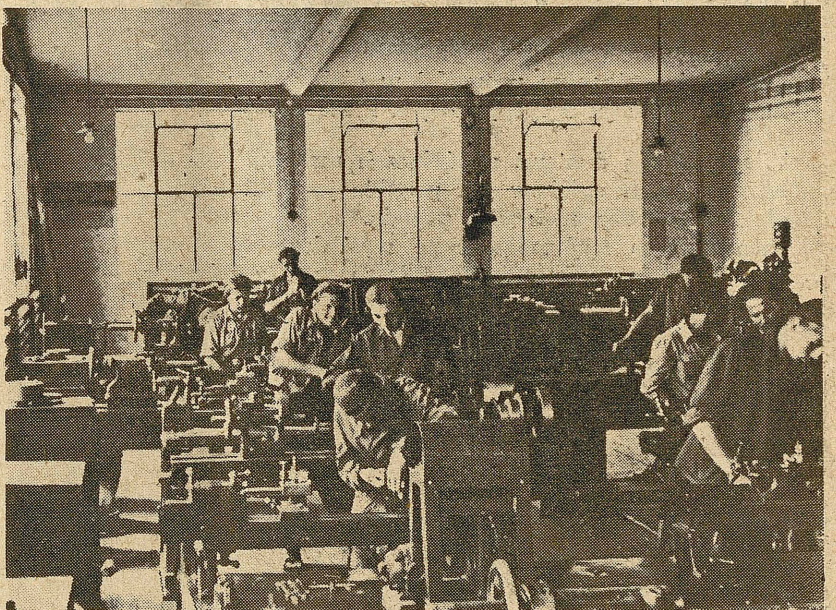
Jan Borzęcki



Sciana młodzieżowa brygady ZMP w kopalni Makoszowy.



Junacy 18 Brygady SP przy budowie autostrady Gdynia—Gdańsk.



Młodzież w Ośrodku Szkolenia Zawodowego.



Z domu społeczno-szkoleniowego ZAMP.

JADWIGA WIERZEJSKA

ABY PRACA SZŁA SPRAWNIEJ

Pracuję w Państwowej Fabryce sznucego jedwabiu, żyję więc w środowisku robotniczym. Większa część naszych robotników zrzeszona jest w partii — PZPR — młodzież należy do ZMP. Koło nasze liczy pięćdziesiąt członków.

Naszymi kolegami w pracy są towarzysze partyjni. Ten fakt posiada bardzo duże znaczenie. Jesteśmy pod ich bezpośrednim wpływem. Korzystamy nie tylko z ich pomocy technicznej, ale przede wszystkim z ich doświadczeń politycznych. Wiemy czym jest na terenie fabryki podstawowa organizacja partyjna. Partia wyrabia u swoich członków dyscyplinowanie w pracy. Członkowie partii zasiadają w radzie zakładowej, w dyrekcji. My, zetempowcy, obserwujemy i uczymy się od starszych kolegów-robotników i jesteśmy o tyle w lepszym położeniu od kół wiejskich, że spotykamy się bezpośrednio z partią, w pracy, na zebraniach, w świetlicy.

Aby praca w kole szła sprawniej musimy dbać o to, by poszczególni członkowie nie tylko słuchali przewodniczącego, ale sami stali na równym stopniu oświeślenia ideologicznego. Dla koła fabrycznego ZMP takim przewodniczącym są nie partia. Dlatego też przed kołem fabrycznym stoi szczególnie ostro zadanie korzystania z doświadczeń zebranych przez członków partii.

Ostatnie plenum Rady Naczelnej ZMP zwróciło uwagę na pewien bardzo istotny element naszej pracy w kołach, mianowicie na konieczność zacieśnienia więzi organizacyjnej pomiędzy poszczególnymi ogniwami ZMP. Na tym odcinku zrobiliśmy już dużo, ale nie wszystko. Wiążemy się coraz silniej z wiejskimi kołami ZMP — wymieniamy doświadczenia. Tak jak istnieją przodownicy pracy i racjonalizatorzy, którzy wzajemnie sobie pomagają i nawzajem uczą się od siebie, tak też istnieją koła ZMP, które mogą już pełnić funkcje nauczycielskie w stosunku do innych słabszych, lub zaczynających dopiero pracę.

Przykładowo: nasze koło nawiązało łączność z jednym z kół wiejskich ZMP. Przejedźaliśmy do ich świetlicy. Byliśmy u nich w zimie 5 ra-

zy. Nasz chór odśpiewał za każdym razem pieśń, dawaliśmy odczyty, i owszem — sala zawsze była nabitą nie tylko zetempowcami, ale i chłopami. Przyjmowano nas serdecznie, nawet „oczekiwano z niecierpliwością”, jak nas chłopcy zapewniali. Byliśmy zadowoleni, przejeżdżaliśmy do siebie, do fabryki ze śpiewem. Ale gdzieś pod koniec marca, kiedy byliśmy we wsi coś już z 4 razy sekretarz podstawowej organizacji partyjnej PZPR przy fabryce zapytał nas — a dlaczego to nie widzimy liśmy w fabryce naszych wiejskich gości? Zrobili nam się trochę nieprzyjemnie. Jakby ktoś zepsuł nam jakiś ładny obraz.

Jakże to, przecież zapraszaliśmy za każdym razem naszych kolegów, ale jakoś nie zwracaliśmy uwagi na fakt, że do nas jeszcze nie zawitali. Owszem, cieszył nas za każdym razem nasz wyjazd do wsi, cieszyli nas nasze występy, ale dopiero po uwadze sekretarza partyjnego stwierdziliśmy, że coś jest jednak nie w porządku i że nasze wizyty nie dają tych wyników, jakich należało by się spodziewać.

Następnym razem zaczęliśmy analizować sytuację. Zeszliśmy z estrady trochę niżej, pomiędzy kolegów zetempowskich. Jedno, drugie, trzecie pytanie, gruntowna obserwacja i oto okazało się, że byliśmy dotychczas ślepi: zarząd ZMP był w rękach kulaków lub ich sympatyków! Koledzy chcieli przyjechać do nas, ale zawsze znaleźiono pretekst, by odsunąć je w przyszłość. Dopiero od tej chwili zaczęła się nasza prawdziwa współpraca! Na terenie koła rozpoczęła się walka, prawdziwa walka klasowa o eliminację wrogich elementów z ZMP i myśmy, tzn. robotnicy i biedni i średniorolna młodzież tę walkę wygrali. Koło ZMP już gościło u nas dwa razy, a my tę współpracę pogłębialiśmy i poszerzaliśmy.

Przykład ten potwierdza, jak słuszne jest stanowisko Rady Naczelnej ZMP, która zwróciła uwagę na konieczność zacieśnienia więzów organizacyjnych bardziej doświadczonych kół z kołami stawiającymi w pracy dopiero pierwsze kroki.

Jadwiga Wierzejska

LESZEK GOLINSKI

KOGUTY PIEJĄ O ŚWICIE

Dobrze się stało, że włączono do naszego repertuaru teatralnego sztukę litewskiego pisarza Bałtuszisa „Pieją koguty”. Autor potrafił w niej obnażyć potworność i brzydotę tej moralności, jaką we wczorajszej wsi litewskiej rozdzielił stonki kapitalistyczne. Sztuka ukazuje całą chydę kuliackiej chciwości i wyzysku, pokazuje nędzę i bezbronność w systemie kapitalistycznym biedoty wiejskiej, ale ukazuje również perspektywę walki, którą wyzyskiwani podejmują przeciwko wyzyskującym.

Rukienie, bogata chłopka z Litwy północnej, przez całe swoje życie ciuła pieniądze, stając się one dla niej haszyszem i jedynym celem życia. Rukienie ma jednak syna i córkę, i jeśli córka po jej myśli wychodzi za mąż za syna bogacza wiejskiego — Powilasa, syn Jonas rozkochuje się w Marycie, córce małego chłopca Błazysa. Małżeństwo na wsi, a szczególnie w domu Rukienie jest częścią transakcji finansowej: ponieważ Rukienie musi wypłacić posag Powilasowi za córkę Onutę — żąda takiej samej sumy od Błazysa i tylko od tego uzależnia wydanie zgody na ślub Jonas z Marytą.



„Pieją koguty” — Bałtuszisa. Akt. III. Od lewej: Kozierska (Marytie), Staszewski (Łabutis), Neno (Anielkie), Chronicki (Powilas), Tymowska (Rukienie), Bak (Jonas).

Jonas wie jednak, gdzie chciwa matka chowa pieniądze. Wykrada więc je i przekazuje Błazysowi, który wypłaca Rukienie jej własne pieniądze jako posag swojej córki. W momencie ślubu kradzież zostaje ujawniona i podejrzenie oszaleła z rozpaczy Rukienie pada na dziecko — małego pastucha Antanukasa, syna biedaka wiejskiego Łabutisa. Za namową matki Jonas bije chłopca, aż do utraty przytomności, aż do śmierci. Łabutis stara się dojść sprawiedliwości, ale przekupny sąd i przekupni świadkowie pozwalają Rukienie, której dzielnie sekunduje jej nowy zięć — Powilas — wygrać proces.

O wszystkim słyszy jednak Marytie. I u tej młodej kobiety budzi się znowa świadomość klasowa: widzi cały bezmiar podłości i kłamstwa, całą nędzę moralną rodziny, do której weszła. Widzi, jak Powilas, jej szwagier, przekupuje świadków, widzi wszędzie, jak Jonas ślepo słucha matki, jak z jej rozkazów staje się mordercą. Sumienie każe jej w dramatycznym momencie wyznać Rukienie, że to jej syn, Jonas razem z nią, a nie Antanukas ukradł pieniądze. Rukienie nie daje za wygraną, a cofnąć się jest już za późno. Razem z Powilasem postanawiają ostatecznie zniszczyć Łabutisa, wykupują jego weksle, chcą przeprowadzić go do ostatecznej ruin, chcą uczynić z niego niewolnika. W obronie Łabutisa staje jednak Marytie. Opuściła ona dom Rukienie i swego rozjaczanego męża, Jonasa, razem z Łabutisem i komornicą Nenienie — rzucając w ostatniej chwili hasło nowych, idących dni, zapowiadając walkę o sprawiedliwość społeczną aż do zwycięstwa. W głębokiej głuszy, w pórę, litewską noc pieją koguty, zwiastując nowy dzień.

W „Pieją koguty” świadomość klasowa rodzi się u biedoty chłopiejskiej przez bolesne doświadczenia. Koguty pieją na wsi o każdym świecie, i pianie ich zawsze zapowiada nowy dzień. Czy będzie on inny od pozostałych? Wierzymy, że tak. Wierzymy, słuchając mocnych słów Marytie, która o takim właśnie świecie wyrusza w świat, przekraczając cały swój dotychczasowy byt. Jutro będzie płomiennym bojem, a wyzwoleńcy społeczni chłopcy, o położeniu kresu wyzyskowi społecznemu na wsi. Pojutrze, gdy kurtyna znowu pójdzie w górę, jesteśmy tego pewni, że stwarzać będzie na Litwie północnej gospodarstwa kolchozowe,

że zasiądzie za stołem prezydiąlnym albo za kierownicą traktora...

Znacznie mocniej (jak to się zwykle dzieje) przedstawił Bałtuszis w swojej sztuce sylwetki negatywne. Rukienie — to wcielona diaboliczność, baba zła i zawzięta, gotowa własnego syna zabić dla pieniędzy. Łączy się w niej najpodlejsze cechy ciemnego, chciwego i chytrego chłopca-bogacza.

Powilas, jej zięć i sprzymierzeniec, to fanfaron wiejski, pyszałek i zawalidroga, któremu się zdaje, że posiadane pieniądze upoważniają go do pomiatania innymi ludźmi. Powilas ma jednak więcej sprytu od swojej teściowej, umie obejść paragraf i przekupić świadków. Jest od niej groźniejszy. Jest układowiejszy, jeszcze bardziej fałszywy i chytły.

Inni — płakający się między tymi dwoma obozami, to ludzie nieświadomi, nie znający jeszcze swojej drogi ani jej celu. Dopiero w epilogu dramatu znajdują oni swoje miejsce i okazuje się, że są tylko dwie siły, dwa obozy, działające na wsi, gdzie walka klasowa występuje w całej ostryści.

Józef Bałtuszis jest pisarzem dużej miary. Skomponował on swój

Artykuł M. Rękasa „Od abecadła do kultury” *) nie tylko zwraca uwagę na bardzo ważną sprawę upowszechniania kultury, ale również wysuwa projekt, którego szkic wart jest pogłębienia w szerokiej dyskusji.

Rękas bardzo słusznie kładzie znak równości między byłymi analfabetami (dziś awanturami kursów) a pozostałą ludnością wiejską w wieku poza młodzieżowym.

I wyciąga poprawny wniosek: jeżeli pragniemy nadal opiekować się byłymi analfabetami, jeżeli chcemy przeprowadzić ich przez kursy dobrego czytania to... uczynimy identycznie z wszystkimi pozostałymi (praktycznie po paru w przeszłości klasach szkoły powszechnej). To znaczy dorzucimy wśród legionu pozostałych też samą potrzebę i tę samą konieczność wprowadzenia ich w kulturę i zaprowieniowania ich w nią i w społeczeństwo. SZEROKO, MASOWO, Powszechnie.

Kursy dla analfabetów stworzyły nowy rodzaj bazy społecznej dla udzielających się w oświecie. Przebieg kursów i rezultaty ukazały naocznie, że w swoim elementarnym zakresie objęły kursy bade istotnie tej elementarnej wiedzy poszukiwanych a potrzebujących. Ze w bazie tej klasowo przeważa biedota, że instruktorzy i nauczanie przełamują niewiarę i wstyd, że rezultaty wyrażają się w spontanicznym parciu masowym abiturientów do kursów wyższych, w śmiechu wprowadzających w Sztukę Odczytywania i Rozumienia Kultury. Tego nas nauczyła to-

czona od miesięcy walka z analfabetyzmem!

Byli analfabeci upewniają nas, że w tej strefie wyposażenia kulturalnego jest nowy, wyższy, szerszy głód kultury. A to jest strefa na wsi powszechna. Jesteśmy dlatego wezwani do drugiej — KULTURALNEJ AKCJI POWSZECHNEJ!

W niej zbiega się kilka nierozwiązanych dotąd a nawet częściowo opuszczonych problemów.

Do takich należy sprawa świetlic wiejskich. Cyfry rejestracyjne są kilkakrotnie większe od realnie funkcjonujących świetlic, ale jedne i drugie są niepokojące za małe.

Cóż o tych rodzajach możemy powiedzieć? Jaką odegrały rolę? Oczywiście, nie małą. Wystarczy przypomnieć festiwal sztuk radzieckich, który stanowi na wsi polskiej w jej półwiekowej tradycji teatralnej przełom i artystyczny i ideologiczny. Gdzie mógł się dokonać? W tych „rodzinkach” zespołach (przysiężniczych, przysiężniczych), gdzie właśnie OCZYTAŃCE GRUPY, szersze i ideologicznie silniejsze zainteresowania GRUPY stworzyły warunki do przyjęcia sztuk radzieckich, jak objawienia, jak wyzwolenia pragnień twórczych, nowych sił u młodych i starych amatorów. Wyjścia zespołów konkursowych w powiaty i województwa wzmogły falę zainteresowań, zaszczytów pragnienia nowych gustów a przez nie nowej mocy w walce klasowej na wsi. Ale akcji festiwalowej zabrakło dostatecznie potężnego zaplecza, tzn. zaplecza w każdej wsi zespołów czytelnianych,

dyskutujących i pogłębiających w problematyce literatury. One wyłoniłyby nowe zespoły teatralne, one rozwinięłyby organizacyjne i utrwaliły na terenie festiwalowy posiew.

Wiemy również o wielu zespołach stałych i przejściowych, które dziś sięgają do repertuaru ludomajskiego, konserwatywnego, „sztuczniczego”. Te dzielne akcje oczywiście i wspierają się o doradców reakcyjnych, co najmniej starszowiejskich i są przez nich powoływane do życia. To czy się walka. W załącznikach kręga — to wadać wyraźnie.

Sięgniemy po inne przykłady. Mammy również „rodzinkowe” czytelnictwo. Jest parę tysięcy chłopów, którzy dziś już gonią nowości. Ledwie wyszły „Traktory”. Zalewskiego już jeżdżą po nie do miasta. Uczniowie ze szkół podstawowych pisali do nas listy, jakby te książki dostać. Parę tysięcy chłopów jest dziś w stanie po przeczytaniu książki dosłownie w kilka godzin napisać recenzję, która może zadziwić i powinna zastanowić krytyków.

To są wszystkie osiągnięcia jeszcze „na dziko”. Wybitne jednostkowo, wybitne w tysiącach, ale przecież my nie możemy tracić z oczu podstawy masowej i związku z tą podstawą.

Trzeba powiedzieć o traktorach, które orały głębiej, o masowych pismach! Setki tysięcy chłopów czytało w odcinkach „Chłopskiej Drogi”, „Gromady”, „Rolnika” — powieści radzieckie. Kiedy w nowych, stałych kinach gminnych oglądają — nieraz pierwszy raz w życiu — film radziecki, takiego np. „Pravdowego człowieka”. Polewoja nie upadają w osłomienie, rozumieją odrazu, jasno i unikiwie, czytali. Taka wieś po seansie, taki zespół PGR-u pod kinem, pod gwiazdami wieczorną spontaniczną dyskusję, której brak oparcia organizacyjnego i tradycji instytucjonalnej.

Z tego, co przytoczono, wynika jasno, że stajemy w obliczu konieczności podjęcia wielkiej, powszechnej akcji kulturalnej. Zawiera się ona w projekcie Rękasa, o kursach (na każdej wsi!) dobrego czytania.

Ta akcja masowa powinna WSPOMOC, a często dopiero POSTAWIĆ PROBLEM ŚWIETLIC. Bez podsiępu zaprawionych, ożywionych i zorganizowanych czytelników (a to na wsi znaczy bardzo wiele i zainteresowanych kulturę, sztuką i pogłębiających ideologicznie) świetlice są i będą martwe, bo w nich żyją i działają CZŁONKOWIE. Trzeba przygotować członków, dalej pójść sami, jako świadomi bojownicy o kulturę a z jej pomocą bojownicy o socjalizm na wsi.

Po pięciu latach uzbierał się na wsi polskiej masy kapitalu, a woski polityczny i schodzący, kapitalizm, o imperializmie, o socjalizmie, o Związku Radzieckim, o naszej rewolucji, naszej drodze, naszej walce, naszej kulturze.

Należy go uporządkować, pogłębić i pomóc chłopstwu dojść do twórczości, nad nim panowania i postępowania się. Kursy dobrego czytania oczywiście, zagadnienie zaciętniejsze, ale tworzą platformę, na której uczestnicy będą mogli się poruszać wspólnie, a o to przecież idzie.

Staje dlatego przed nami problem kadru organizatorów kursów: nauczyciele, działacze, młodzież ZMP-owa. Trzeba przygotować do tej akcji kierowników kursów. Więcej, trzeba opracować program roczny takiego powszechnego kursu. Szczegółowo o tym zadaniu, aby organizator podał plan, aby uczestnicy najwcześniej osiągnęli.

Alle, która to sprawa wielkiej orki, która wprowadziła powszechnie już nie do liter, a do czytania i rozumienia kultury, do ujrzenia w niej narzędzia walki ideologicznej i do posługiwania się nim na codzień.

To sprawa naszej literatury, jej rozwoju, jej treści i komunikatywności, skoro byłoby to bój o 2 miliony produkcyjnego kulturalnego chłopstwa!

Piotr Chmura.

*) patrz — poprzedni (32) numer „Wiś”.

TEODOR BOREJ

LIST Z WCZASÓW

Grzesiak rozgał się na dobre. Nie chcąc o tak wczesnej porze budzić wczasowiczów, usiedliśmy sobie w pięknym parku snując wspomnienia.

— Właśnie — powiedział Grzesiak — kiedy leżałem w czasie strajku w 1937 roku na wykopie przemoknięty do nitek, odczułem mocne klucie w krzyżu. Pewien kupiec jeszcze przed wojną doradzał mi kpić do jechać na kapiele do Ciechocinka. Przysnąłem, że nie wiedziałem wtedy nic o tym Ciechocinku. Zaczęłem wyobrażać sobie to miejsce i wierzyć, że ten długotrwały dokuczał mi ból... i oto teraz z tą nabytą w strajku w 1937 roku chorobą przyjechałem na leczenie do Ciechocinka.

Po śniadaniu w willi „Arkadia” Grzesiak siedział obok śpiewaczki z Warszawy i chciał podzielić się z nią myślą.

— Piosenka o Ciechocinku nie była brzydka... i wszystko to jak „klasowcy” twierdzili na nasze wyzślo.

Zrozumiał Grzesiak, barczysty jak z żelaza wykuty dyr. Uniwersytetu Powszechnego w Katowicach ton. Sońta. Właśnie obrano go przewodniczącym Rady wczasowiczów, by swą pogodą ducha i wiarą w człowieka pracy organizował imprezy wczasowe i walczył z obcą i wrogą nuda.

Zauważyłem, że na rozmowę miałby także ochotę człowiek o osmalonej twarzy. Mózgiste dno nie zdradziło go od pierwszego wejścia.

— Nazywam się Czelepek ze Stalowej Woli...

— Swoją drogą na przykład mój syn będzie malarzem artystą. Dwie córki są w gimnazjum... ja w Ciechocinku odpoczywam... wychodzi, że nie podobne to do wczorajszego życia...

— A tak — przeciął ton. Sońta — nie podobne, bo zmieniliśmy władzę... bo to wszystko, co stworzyli ludzie pracy, służy dziś nam.

Kierownik pensjonatu „Arkadii” i „Lesniczanki” tow. Kaliszczak, uważał, że taka ciekawa dyskusja nie może odbywać się na sucho, więc postawił przed nami dzbanek gorącej kawy. Jedzenia nikt sobie tutaj na wczasach nie żąda. Po prostu każdy zjada tyle, ile chce. Również nie obowiązują specjalne regulaminy godzin. Toteż siedząc za stołem, nie śpieszyliśmy się. Robotnica z PGR-u, była fanka, z długoletniego przyzwyczajenia w czasach niewoli dworskiej, śpieszyła z jedzeniem siorając gorącą kawę, co bardzo nie podobało się na przeciw siedzącej pani o twarzy grzmiennie wymalowanej i grymasach „lepszej sfery”. Zdałoby mi się, że tej pani jest za ciasno, i dlatego tak mało je, więc odsunąłem nieco swoje krzesło i podałem jej koszyk z chlebem.

Wywiązała się rozmowa. — Kultura, proszę pana, tak samo jak ciepłarnia kwiat, musi mieć warunki, klimat...

— Jak to pani rozumie? — zapytałem — czy to jest ci ludzie...

— Wiem — przerwała mi skinięciem ręki — chce pan powiedzieć, że awans społeczny... Ale człowiek, który zaczyna się uczyć na starość jadać widelcem, proszę pana i na elementar. I klasy patrzy z przerażeniem...

W tym miejscu wymalowana pani przerwała rozmowę, uśmiechnęła się tajemniczo, skinęła głową

i wyszła. W myśl zasady, że wczas nie są po to, by się denerwować, poszliśmy na solankowe kąpiele. Ale spokojny był tylko pozorny. Każdy z nas na swój sposób zbierał dowody, by okazać, że kultura właśnie została ocalona dzięki robotnikom ze Stalowej Woli, robotnicy PGR-u i nauczycielowi z Powszechnego Uniwersytetu. Prawdę mówiąc, ja samemu jadanie widelcem jakoś niezbyt mnie interesowało, by uczyć się jeść drewnianą łyżką, to prawda, że ludzie z PGR-u zakładają uroczyste w elementarze pierwszej klasy. W tym miejscu przyszedł nam z pomocą kierownik Powszechnego Uniwersytetu — kultura — usmiechnął się kierownik — to my, ludzie pracy. Patrzcie — pokazał na potężne tężnie, które kilka lat temu budowano to pożyteczne urządzenie. Budowali je polscy robotnicy. A kto korzystał z tego urządzenia? Wyłącznie klasa posiadająca, dopiero dziś dzieki rewolucji my, ludzie pracy korzystamy z tych kuracyjnych urządzeń.

Przy obiedzie za naszym stołem było rzeczywiście wesoło. Śmialiśmy się z wewnętrznej potrzeby, z zadowolenia, że my robotnicy tworzymy kulturę narodową, że ona rośnie i... że nazywa się naszą kulturą.

Ażby nasza radość nasyciła się do końca, postanowiliśmy pójść gremialnie na „Brygadę Szlifera Karhana”. Gdzieś w czwartej odsłonie, ktoś mocno ścisnął mnie za rękę.

— Ale z tym mężem zaufania to u nas w Stalowej Woli tak samo było...

Kiedy stary Karhan zdenerwował się i ubrał z powrotem trzewiki, by pójść do fabryki, ktoś za plecami nie wytrzymał i krzyknął:

— Tak jest, to prawda...

Długo w noc siedzieliśmy na werandzie, pijani od własnego gadulstwa, bo nikt nie chciał trzymać w zanadrze swoich wątpliwości, czy też pięknych nadziei. Klądsiły je jak na stół, po kolei, inni dorzucali „swoje pięć groszy”, co chwila wybuchaliśmy wesołym śmiechem.

— Wiecie — podsumował spędzony na wczasach dzień „nasz starszy” Sońta. Radość jak cukier krzepsz...

— Ano, kiedy zdawało mi się — nieśmiało wsunął swą uwagę człowiek ze Stalowej Woli — że śmiać się może niepoważnie. Chociaż tutaj w sercu czuję, widzę, że niby te kwiaty i ten park i ta muzyka i kąpiele i ta rozmowa z wami — wszystko to jakby umyślnie dla mnie przygotowane...

Lekki ciepły wiaterek wiał od strony tężni i pachniał przyjemną wilgocią. Pogryźliśmy się jakby w drzemce. Nie, to nie była drzemka. To był obrachunek przeżytych lat. Każdy z nas inaczej, ale każdy jednakowo pracując szedł, walczył i zwyciężył... A w te nasze rozmowy o nowym, które ciągle jeszcze odkrywamy, wplotła się melodia piosenki:

„Ja drugą takiej strony nie znam...”

To ktoś przekreślił gałkę radioaparatu. Słuchaliśmy piosenki nie obec dzisiaj nawet Koreańczykom, walczącym o prawo do pracy i odpoczynku, jakiego zaznajamy my robotnicy, chłopcy i inteligenci polscy na wczasach 1950 roku.

Teodor Borej.

Powieść o wsi słowackiej

(Dokończenie ze str. 7)

cenil wpływów, rozciągających się na wieś słowacką z kulackich murów, zbyt pochopnie osłabił szeregi ciemnych kleryków w rodzaju Dziuraka, nie potrafił odważyć i o twierdził, że „wielki” napór ciemnoty, hamujący, wywołuje dążności mas chłopskich. Przedstawił zatem raczej perspektywę, niż rzeczywistość 33 roku.

To dalekowszere ujmowanie procesów rewolucyjnej aktywizacji wsi słowackiej mogło się być stać największą księżką Krala. Przeszkodził temu nadmiar bezkrytycznego optymizmu. Książka Frano Krala nosi wyraźny charakter szkicu literackiego, niekiedy nawet przekracza i te granice w kierunku surowych notatek autorskich. Szkieletu zarysowania postaci, składowych psychologicznej. Rozwijając akcję, której konstrukcja zasadza się na grze trafnie uchwytanych lecz migawkowych spostrzeżeń i wniosków, autor przenosi swą uwagę często zupełnie mechanicznie z jednego wątku powieściowego na drugi. A jest ich, jak w każdej książce podejmuje opis całego środowiska — niemało. Cała powieść Krala to wielkie poszukiwanie wyrazu artystycznego. Epickie próby mieszają się z czysto lirycznymi wstawkami, obok nich pojawia się ekspresjonistyczna deformacja — element groteskowy.

Ważny moment ostatni: groteskowa deformacja. Metodą tą kreślił pisał sylwetki dziedzica i notara: „Siedzieli naprzeciw siebie, w głębokich, pluszowych fotelach. Głowa notara, osadzona na krótkim, tegim karku, o niskim czole, obwisłych policzkach, z szerokimi ustami i rozplaszczonym nosem, wystawała z pluszu jak głowa żaby wychylająca się ze skrzeku; zacerwieńniona zaś podnieceniem oblicze Polana, naciągnięte na graniasty łeb, z zapadłymi, niebieskimi oczkami i nadłamanym orlim nosem, przypominało podrażnionego indyka. Kiedy rozmawiali, zdawało się, że tegie żabko skrzeczy coś do indyka, indyk zaś gulgocze do żaby”.

Nie pogłębia to wcale artystycznego wymiaru tych postaci, określających się znacznie wyraźniej samą swą działalnością na terenie Radzimek.

O ile powieść Frano Krala można nazwać próbą chłopskiej epopei, o tyle książka Horaka przypomina legendę o Janosiku, zbójnikach i zbójcach.

Zagroda starego Bartka Bugali — Vahana, w której rozgrywa się akcja książki Horaka, leży wysoko ponad ostatnią górską osadą. Otaczające ją lasy tworzą naturalną zapórę przed wszystkim, co mogłoby przyjąć ze świata. Zagroda starego Bartka, to istny rezerwat prymitywu. Stary góral, zaplatający włosy w warkocz, rządził w swej zagrodzie jak biblijny patriarcha. Mysł jego błędzi przeważnie wśród cieni tych, z którymi chodziło się kiedyś na zbój.

Tak głęboko i wysoko w lasy zaszedł z akcją swej powieści Józef Horak. Ktoś mógłby pytać: czy nie za głęboko, czy rzeczywiście istniał taki zatopiony w lasach, oderwany od świata, rezerwat? Spór o realia powieści Horaka nie jest tu jednak rzeczą decydującą. Ważniejsze są

konsekwencje spojrzenia na świat oczyma mieszkańców Bartkowej zagrody.

Poznana przez nas Radzimek, wraza napięciem klasowych sprzeczności, leży u stóp tych samych gór, które kryją zagrodę Bugali — Vahana. I tam ludzie wolali na siebie: gązdo! i tam starsi wspominali Janosikowe czasy. Ale najsłabsze echo radzimczankich dramatów nie docierało do świadomości ludzi z gór. Podobnie przespali Vahanowie całą inwazję faszyzmu. Zaczarowany świat obudził dopiero odgłos, przeprowadzonej przez oddziały SS pacyfikacji po zlawieniu powstania Słowaków. Cofającą się armia hitlerowska ubezpieczała starannie swe najbliższe zaplecze. Powódź bestialstwa nie oszczędziła i samotnej zagrody.

Ludzie z zagrody starego Bartka staneli oko w oko z wojną i faszyzmem. Czy można się dziwić, że przedstawiły się one im w wymiarach apokaliptycznych żywiołów, nieznanych ciemnych sił? Wojnę i faszyzm pojęli oni kategoriami otaczającej ich natury. Tymi samymi, w jakie ich ujęto: „Bugalowie, ojciec i syn, wychodzili na przybłę, i patrzyli na niebo. Rozszereali zarosłe nozdrza i weszli, jak leśna zwierzyna. Nie musieli się w ten sposób przekonywać, co się gotuje; możliwe, że budził się w nich zapamiętany, w krew wrosły instynkt”. W cytowanym fragmencie mowa o odczuwaniu zbliżającej się zimy.

Biologiczne pojmowanie człowieka, ujęcie w egzotyzm prymitywu i wybudują ekspresjonizm, określają niemal bez reszty artystyczne oblicze książki Józefa Horaka, ograniczając w dużej mierze możliwość jej pozytywnego ideologicznego oddziaływania na czytelnika.

Alle jest w tej książce i nadchodzące „nowe”. Jest tam radziecka spadochroniarzka, są oddziały słowackich partyzantów, korzystające z doświadczeń i kierownictwa żołnierzy radzieckich, jest wielkie poświęcenie i twarda wola zwycięstwa oswojonej cielskiej Armii Czerwonej. Jak wielką klamrą spłót Horak karty swej powieści młodzieńcza miłość radzieckiej dziewczyny i słowackiego Juhasa.

Dwie powieści słowackie: „Zakret pod Ruchowem” Krala i „Lasy milcza” Horaka, to nie tylko dwa obrazy nieznanych dotychczas polskiemu czytelnikowi dzieł ludzi zza gór tatrzańskich. Dwa nowe przekłady — to wyraźne dokumenty dokonującego się w słowackiej literaturze przełomu, zgodnego z kierunkiem socjalistycznych przeobrażeń w naszej prozie literackiej lat powojennych.

Jerzy Skórnicki

*) Frano Kral, „Zakret pod Ruchowem”, tłum. Feliks Gwizd, P. I. W., str. 284 + 4 nb.

**) Józef Horak „Lasy milcza”, tłum. Antoni Brosz, „Wydawnictwo Ludowe”, Warszawa, 1950, str. 220 + 4 nb.

**) notar — urzędnik załatwiający drobniejsze czynności administracyjne, prawa ręka starosty powiatowego w sprawach politycznych i gospodarczych. Notar swą działalnością przytaczał zwykle kilka gmin wiejskich (wg. przypisku tłumacza).

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wileńska Nr 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starokiełewska Nr 7.
Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel. Redakcji 751-80 do 89. wewnętrzny 23 i 97.
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. OSW. „CZYTELNIK”
REDAKCJA NIE ZAMOWIOWYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16

Warunki prenumeraty:
miesięcznie 100,— zł.; kwartalnie 300,— zł.; półrocznie 600,— zł.; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za twr. „Wiś”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik”, Marszałkowska 3/5

B-119005